Na pamiątkę zdania egzaminu

dnia 30. 6 1921.

od Rodziców.

OGNISTA RĘKA.

Nr. 15

Jerzy Kucharski

KAROL MAY

OGNISTA RĘKA

TŁUMACZYŁA ZOFJA SAWICKA.



LWÓW — WARSZAWA — POZNAŃ.
WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA".
LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA.
NEW-YORK, POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

Z DRUKARNI L. WIŚNIEWSKIEGO —:— LWÓW, ULICA PIEKARSKA 32.

Słońce zniżało się już po za ów łańcuch gór *Rocky-Mountains*, który tworzy granicę pomiędzy Oregonem a Nebraską.

Według mego obliczenia, powinienem był znajdować się w pobliżu *New-Venango.* Koń mój był znużony, ja zaś długiem błądzeniem tak wyczerpany, że pragnąłem dostać się coprędzej do celu mojej wędrówki i spocząć.

Naraz spostrzegłem w oddali dwa ruchome punkty, domyśliłem się, że to są jeźdzcy. Skierowałem w ich stronę dalekowidz i z niemałem zdziwieniem spostrzegłem, że jeden z nich jest wyrostkiem.

— Dzieciak na prerjach i to w ubraniu trapera — pomyślałem, chowając dobyty rewolwer.

— Czyż towarzysz jego jest jakimś ekscentrycznym Jankesem, włóczącym się po stepach?

Jeźdzcy zbliżali się szybko, spostrzegli mnie już, a chłopak wzniósł szpicrutę i wołał dźwięcznym głosem:

— Dzień dobry! Czego to pan szuka po swych kieszeniach?

— Sługa twój, mój człowieczku. Opinam się, aby wasze przeszywające spojrzenia, nie wyrządziły mi szkody.

— Czyż nie wolno patrzeć na was?

— Broń Boże! Chcę się wam tylko odwdzięczyć tem samem.

— A zatem podnieś przyłbicę twego bobrowego hełmu i patrz!

— Dziękuję. Wyglądacie wcale *gentlemanlieke*, w waszych świeżych ubraniach. Proszę podziwiać mnie z kolei — dorzuciłem, zwracając mego mustanga na wszystkie strony. — Przedstawiłem się wam dokładnie. Jakże się wam zdaję?

— Tak, tak, niczego. Trzymam się jednak w należytej odległości, jak tego wymaga ceremonjał puszczy.

— Jesteśmy więc w puszczy? Błądzę cały dzień prawie, i...

— A więc jedź z nami. Zobaczysz dopiero jaka olbrzymia jest ta puszcza.

Puścił konia galopem, a mój mustang podniecony współzawodnictwem, puścił się tak szalonym biegiem, że chłopak z okrzykiem podziwienia zatrzymał swego konia, który zwalniał już chodu.

— Znakomitego masz bieguna *sir* — zauważył chłopak, mierząc mustanga okiem znawcy. — Ma indyjską tresurę. Skąd go pan ma?

— Dostałem go od Winnetona, wodza Apaszów, z którym spotkałem się nad *Rio Suanca*.

Patrzył na mnie zdumiony.

— Od Winnetona? — powtórzył. — Ależ to jest najsroższy z Indjan w całej okolicy *Sonory i Kolumbji*. Nie wygląda pan na człowieka, któryby miał podobne znajomości.

— Dlaczegóż to? — uśmiechnąłem się, ubawiony tym wykrzyknikiem.

— Sądziłem, że jesteś pan *surveyorem* lub kimś podobnym. Są to zapewne bardzo zacni ludzie, lecz żeby się mieli ważyć iść pomiędzy Apaszów, do tego im daleko. Bądź jak bądź, nie wygląda pan na trapera, ni na skwatera.

— Naprawdę jestem takim sobie „jeźdzcem od niedzieli", chociaż mam dobrą broń. Pochodzi z St.-Louis, a wiecie chyba, że znaleść tam można towar doborowy.

— Hm!... sądziłbym, że ten właśnie towar sprawność swą okazuje w odnośnem życiu. Czybyś dokazał takiej naprzykład sztuki?

Dał susa w bok, zakreslił w szybkim kłusie koło, wzniósł rękę i nim mogłem odgadnąć jego zamiar, zmierzył do mnie i wypalił.

Uczułem wstrząs mego bobrowego kołpaka, jednocześnie spadł mi pod nogi zatknięty zań kwiat heljantusa.

Chcąc dać nauczkę śmiałkowi, zauważyłem z zimną krwią:

— Sądzę, że tej sztuki dokazałby niejeden. Czy jednak potrafiłby ofiarować swą czapkę na cel, pod którą przypadkiem znajduje się głowa, oto pytanie?

Nim zdołałem otrzymać na nie odpowiedź, złączył się z nami towarzysz młodzika, który miał wielkiego ciężkiego konia i nie mógł sprostać naszym biegunom.

Towarzysz ów, był to chudy, długonogi Jankes o cienkiej szyji, kościstej twarzy i biegających oczach.

Nie był wcale tak zajmujący, jak mój młodziutki traper.

Wysunął się teraz nieco naprzód, a odblask zapadającego za horyzont słońca oświetlał go, dobywając z jego młodzieńczej twarzy, pewien wyraz stanowczości, który odkrywał zasoby energji i silnej woli. Czuło się, że to chłopię zaledwie szesnastoletnie, odbiegło już daleko od lat dziecięcych.

Wśród tych rozmyślań, przyszły mi na myśl owe na wpół legendarne opowieści o śmiałości i samodzielności dzieci z „far West“.

Chłopiec naraz zatrzymał konia.

— Pan dąży do New-Venango?

— Tak.

— A przybywa z Savanny?

— Jak to zdradza mój strój.

— Jesteś pan cudzoziemcem, mianowicie Niemcem.

— Czyż mówię tak licho po angielsku?

— Tego nie mówię, akcent jednak zalatuje czemś obcem. Mówmy więc naszym ojczystym językiem. Czy zgoda?

— Jakto? To pan pochodzi z Niemiec?

— Mój ojciec przyszedł stamtąd. Ja zaś urodziłem się w Quicourt z matki Indjanki. Pochodziła z plemienia Assineboinów.

Teraz dopiero zrozumiałem, skąd pochodził egzotyczny typ jego twarzy.

Więc matka była Indjanką! Zajęcie moje wzrastało z każdą chwilą.

— Spójrz tam! — zawołał mój metys, wznosząc rękę. — Czy widzisz jak tam podnoszą się dymy?

— A więc zbliżamy się już do „Bluffu“, którego szu-

kałem, a w którego pobliżu leży „New-Venango". Czy znasz Emeryka Forstera?

— Trochę. Jest ojcem mojej bratowej, która z mężem swym przebywa w Omaha. Właśnie powracam stamtąd. Czy chce się pan widzieć z Forsterem?

— Nie, pytałem tylko o niego, jako o najznakomitszego w tej okolicy właściciela obszarów.

— Musiałeś go już widzieć?

— Nie.

— A nawet widzisz go teraz, bo jedzie obok ciebie. Nie przedstawiliśmy się sobie po formie, ale to ujdzie na prerjach.

— To prawda — zauważyłem. — Tutaj nie przypisują tancmistrze reguł, tylko noże.

— Słyszałeś pan coś o skwaterze zwanym „Ognistą ręką"?

— Rozumie się. Ale go nie spotkałem.

— Zna on wszystkie zakątki, wszystkie tajemnice gór, a mógłby zaprowadzić was do skarbów ukrytych, o których istnieniu nikt niema pojęcia. Stosy złota i srebra bajecznej wartości.

Zatrzymaliśmy się nad brzegiem zbocza i patrzyliśmy w dół na osadę, nie bardzo imponującą ilością zabudowań.

Leżąca przed nami dolina podobna do patelni, obstawiona była dookoła stromemi skałami, środkiem płynęła rzeka. Cała przestrzeń doliny pokryta była szybami, potrzebnemi do wydobycia nafty. W pobliżu rzeki znajdował się przyrząd wiertniczy, nieco dalej ciągnęły się zabudowania fabryczne, w niejakiej odległości zaś wznosił się pokaźny dom mieszkalny.

— Oto jest „Bluff“ — zawołał Harry.

— Droga doń jest tak stroma, że musimy zsiąść z koni. Poprowadź pan swego mustanga.

— Nie trzeba „Swallow“ mój pójdzie sam za mną.

Harry prowadził swego konia za uzdę, mój mustang kroczył posłusznie za mną, Forster zaś porał się flegmatycznie ze swoim ciężkim rumakiem.

Podziwiałem zaś gibkie ruchy młodego chłopca, jego chód lekki i pewny.

U podnóża góry dosiedliśmy znowu koni. Chciałem się pożegnać z mymi towarzyszami, kiedy Forster wymówił:

— Pojedziemy razem do Store, mam bowiem załatwić jeszcze z panem drobnostkę.

Było mi wcale miło nie rozłączać się jeszcze z Harrym, nie byłem natomiast wcale ciekawy „drobnostki“ pana Forstera. Nie czekałem jednak długo.

Zaledwieśmy zsiedli przed drzwiami oznaczonemi napisem : „Store i Boardinghouse“ a już Forster chwytając uzdę mego mustanga pytał:

— Ile kosztuje ten koń? Chcę go kupić.

— Nie sprzedaję go.

— Dam dwieście dolarów.

— Nie sprzedam.

— Dwieście pięćdziesiąt.

— I to nic nie nada.

— Trzysta.

— Daremny trud.

— Trzysta, i wszystko zapłacę, cokolwiek zakupicie w „Boardinghouse“.

— Przecież pan wie, że na prerjach nie można istnieć bez konia!

— Dodam wam mojego.

— Zatrzymaj pan swego rumaka „patentowanego". Nie oddałbym za niego ani włosa z mojej bobrowej czapki.

— Muszę mieć tego konia. Podoba mi się.

— Bardzo wierzę. Jesteś pan jednak zbyt ubogi, aby go kupić

— Za ubogi? Czy nie słyszałeś pan, że jestem Emerykiem Forster, który mógłby nabyć tysiące podobnych mustangów, gdyby mu się tak podobało!

— Trzos pański mało mnie obchodzi. Proszę zresztą zwrócić się do handlarza koni, bo ja wcale nie myślę sprzedać mego wierzchowca.

— To jest bezczelność! Człowiek, któremu palce wyzierają z butów, powinien cieszyć się z takiej gratki. Przynajmniej raz w życiu zdobyłbyś pieniądze w uczciwy sposób!

— Emeryku Forster, powściągnij język! Inaczej możesz przekonać się, że chociaż nie mam pieniędzy, mam dosyć prochu.

— Oho, miły panie! Nie jesteśmy na prerjach lecz w New Venango! A tutaj przypadkiem ja rozkazuję. Jeżeli ktoś nie idzie mi na rękę po dobrej woli, potrafię w inny sposób nauczyć go rozumu. Dostanę konia czy nie dostanę?

— Nie — odpowiedziałem stanowczo, chwytając za cugle, które pochwycił był Forster.

W tej chwili jednak Emeryk uderzył mnie pięścią w pierś tak mocno, że zachwiałem się w siodle i o mało nie runąłem na ziemię.

— Tak człowiecze — wykrzyknął uparty miliarder. —

Przekonaj się, że nie zwykłem zmieniać zdania. Oto masz mego konia. Rachunek wyrównamy w Store, a po dolary możesz zgłosić się, kiedy ci się podoba. Pójdź Harry, skończyłem

Zawołany zatrzymał się na chwilę, patrząc mi z zajęciem w twarz. Gdy jednak nie myślałem wcale odebrać moją własność, zmierzył mnie pogardliwem spojrzeniem.

— Wiesz co to jest kujot? — spytał.

— Tak jest — odpowiedziałem obojętnie.

— A więc?

— Myślisz o małym wilku stepowm, owym tchórzu, co zmyka nawet przed szczekaniem psa i nie wart jest nawet wystrzału?

— Wyborne określenie! Czy wiesz, że jesteś kujotem?

Odwrócił się z nieopisanem lekceważeniem i podążył za władcą z New-Venango.

Milczałem, mając plan gotowy. Nie wyrzekałem się wcale Swallowa, chciałem tylko pozostawić go czas jakiś u Forstera aby raz jeszcze widzieć się z Harrym. Chłopak ten zajął mnie niezmiernie.

Krewkie jego słowa nie obraziły mnie wcale.

Z szynkowni wyszło kilku mężczyzn, którzy przysłuchiwali się w drzwiach mojej rozmowie z Forsterem. Jeden z nich przywiązał wierzchowca Emeryka do jakiegoś pala, a potem zbliżył się do mnie. Obrzękła twarz pijacka i rude włose zdradzały w nim Irlandczyka.

— Nie zwlekaj z handlem, *master* — zauważył z uśmiechem. — Nie wyjdziesz na tem źle. Czy zostaniesz dłużej w New-Venango.

— Nie mam po temu ochoty — odpowiedziałem — Jesteście może gospodarzem tej sławnej gospody?

— Jestem nim. Macie słuszność panie, to sławna gospoda i znana wszystkim tym co przymierze zawarli z *brandy*. Może cię tu szczęśliwy los sprowadza?

— Jakże to?

— A bo mógłbyś pozostać u mnie. Szukam właśnie pomocnika, a że w naszym stanie hardość nie popłaca, nadawałbyś mi się paradnie. Zauważyłem bowiem że nie bratasz się z ambicją. Przybijmy targu, nie pożałujecie.

Miałem wielką chętkę spoliczkować tego błazna. Prędko jednak ochłonąłem, wszak propozycja jego była raczej śmieszną aniżeli upokarzającą. Wszedłem więc do gospody, aby załatwić potrzebne zakupy. Spytałem ile mam zapłacić za wybrane rzeczy, Irlandczyk spojrzał na mnie zdziwiony.

— Przecież wszystko zapłaci Emeryk Forster — wymówił z uszanowaniem. — Nie wydasz panie ani jednego penny.

— Dziękuję za łaskę! Jeżeli coś kupuję, to nie za pieniądze koniokrada,

Chciał zaprotestować, oburzony widocznie tym epitetem, ale kiedy dobyłem z zapasa garść złotej monety z miną pełną uszanowania począł się targować z chytrością i czelnością właściwą obieżyświatom, ciągnącym zyski gdzie i jak się uda.

Nakoniec porozumieliśmy się. Kupiłem wcale godne ubranie trapera i zaopatrzyłem się w żywność i w amunicję.

Tymczasem zapadł wieczór. Cała dolina pogrążyła się w głębokiej ciemności.

Nie miałem zamiaru zatrzymywać się dłużej w „sławnej“ gospodzie. Zarzuciłem przeto nowiutki plecak na ramiona

i wyszedłem. Chciałem mianowicie udać się do Forstera, aby mu rozjaśnić nieco w omamionej wielkością swą głowie.

Szedłem wzdłuż rzeki. Teraz dopiero zauważyłem, że wyziew naftowy zwiększał się w pobliżu wody, jasnem więc było, że owa palna substancja zawierała się także i w rzece.

Zbliżałem się do zabudowań, które wznosiły się czarną masą, gdy jednak boczną drożyną dobijałem do celu, do mieszkalnego domu Forstera, powitało mnie stamtąd światło. Na werandzie zebrane było towarzystwo.

Naraz posłyszałem lekkie parskanie, zrozumiałem zaraz co to było. Mój Swallów nie dał się wprowadzić do stajni, musiano go więc zostawić przed domem i przywiązano w pobliżu werandy, bo tutaj był najbezpieczniejszy.

Podsunąłem się w ciemności do konia, mając wciąż oczy zwrócone na werandę. Zauważyłem tam mego ulubionego Harry, leżącego w hamaku.

— Nie dobrze obliczyłeś całą sprawę, drogi wuju — mówił on zwrócony do Forstera — i to jest zresztą przedsięwzięcie bardzo uciążliwe i nie zbyt potrzebne.

— Cóż to, chciałbyś mnie uczyć rachunku! — pytał Forster. — Ceny oleju dlatego tylko spadły, bo źródła za dużo go produkują. Jeżeli przez miesiąc damy upust źródłom, ceny podskoczą znowu, interes jest dobry, bardzo dobry. Z niższego pokładu spłynie olej do Venango-River. Tymczasem dalej w górze dobierzemy się do oleju. Zresztą mam go wielki zapas w beczkach, które wyślę w niedługim czasie na Wschód. Zyskam na tem krocie.

— To nie jest uczciwy interes. Zdaje mi się, żeście zaniedbali zupełnie źródła naftowe na starym lądzie. Wa-

sze postępowanie podbudzi tamtejszą konkurencję do ostateczności, sami więc wtykacie broń w rękę przeciwnika. Zresztą zapasy nagromadzone tutaj, w Stanach, są tak wielkie, że starczą na długo.

— Nie możesz sądzić o tem, jesteś jeszcze za młody i nie znasz olbrzymiego zapotrzebowania.

— Tego by trzeba dowieść!

— Dowód mam pod ręką. Czyż nie wyznałeś mi przed chwilą, że pomyliłeś się co do tego „leśnego człowieka“, czy jak go tam mam nazwać? Nie przypuszczałem zresztą, że mógłbyś mieć upodobanie w podobnem towarzystwie.

Harry zarumienił się i odparł żywo:

— Wyrosłem w takiem towarzystwie, przecież to wiesz. Życie moje spędzałem dotychczas w nieznanych samotniach i nie kochałbym chyba mego ojca ani trochę, gdybym owem „towarzystwem“ pogardzał, bacząc jedynie na jego zewnętrzny wygląd. Są tam ludzie, do których nie dorośli wasi gentlemeni i dumni potentaci pieniężni. Niema zresztą tu mowy o pomyłce, mówiłem bowiem, że nasz przypadkowy towarzysz zdawał mi się być innym.

— Pomiędzy przypuszczeniem jednak a twierdzeniem jest duża różnica.

Forster miał odpowiedzieć na te wywody, gdy w tem naraz rozległ się huk tak potężny, jak gdyby ziemia rozpadła się i wszystko waliło się w gruzy. Uczułem drżenie gruntu pod stopami, dolina zaś zmieniła się w morze ognia, z którego słupy płomienne strzelały w górę. Po-

wietrze napełniło się duszącym, gazowym wyziewem, który zdawał się owiany lotnym ogniem.

Ze strasznym tym fenomenem natury spotkałem się już w dolinie Kanawhaty, znałem go!

Jednym susem znalazłem się na werandzie, wśród oniemiałego od trwogi towarzystwa.

— Gasić światła, gasić światła — wołałem. — Świder natrafił na strumień oleju, zaniechano koniecznej ostrożności, aby nigdzie nie palić ognia w pobliżu. Gazy ulatniają się i palą! Gasić światła, inaczej cała dolina spłonie!

Biegałem od jednego świecznika do drugiego, ale pokoje były także oświecone, trzeba było i o nich pamiętać.

Tymczasem strumienie strzelającego w górę oleju, rozlewając się z nieprawdopodobną szybkością dosięgały już rzeki. Niebezpieczeństwo wzrastało z sekundy na sekundę.

— Ratujcie się! Uciekajcie, na miłość Boską! Chrońcie się na wyżynę! — wołałem.

Nie troszcząc się więcej o nikogo, porwałem w ramiona Harry'ego i w następnej chwili siedziałem już w siodle. Nie rozumiał znać grozy położenia, bo opierał się z całych sił, zaledwie zdołałem go pokonać wysiłkiem owej energji niezwykłej, która nawiedza w decydujących chwilach. Swallow niósł nas w szalonym galopie, puściłem go wolno, ufając jego instynktowi.

Ścieżka górska, którą zstępowaliśmy wpierw z wyżyny Sawanny do New-Venango zalana już była płomienną falą. Mogliśmy się ocalić, rzucając się w bok,

Jeszcze jeden skok, jakiś potworny, sadzący w przepaść... i zostawiliśmy za sobą skalistą ścianę.

Kilkaset kroków dalej prerja zbawicielka... Swallow zatrzymał się, zesunąłem się na ziemię.

Podniecenie i wytężenie było tak wielkie, że pokonało ogarniającą mnie niemoc. Zbierałem powoli myśli, objąłem za szyję najwierniejsze zwierzę na świecie i całowałem je wśród szlochu i łkania.

— Mój dzielny, mój wierny, uratowałeś nas, uratowałeś — powtarzałem ściskając coraz mocniej mustanga, który drżał na całem ciele.

Na niebie gorzała krwista łuna, a kłęby ciężkiego, czarnego dymu zwisały nad miejscem spustoszenia.

Nie miałem jednak czasu na obserwacje, przedemną leżał na poły martwy Harry, blady, sztywny. W dłonie zaciśniętej kurczowo błyszczał mój nóż dobyty mi z za pasa.

Ubranie miał zmoczone, oblepiające ciasno bezwładne ciało, twarz bladą śmiertelnie, po której od czasu do czasu przesuwały się krwawe odblaski strzelających w górę płomieni.

Uniosłem go w ramionach, odgarnąłem włosy z czoła, rozcierałem mu skronie, złożyłem usta moje na jego ustach, aby go moim ożywić oddechem, krzątałem się jak mogłem, aby przywrócić go do życia.

Nakoniec, po ciele chłopca przebiegło drżenie, zrazu lekkie, potem silniejsze, serce zaczęło bić, na ustach poczułem jego oddech.

Ocknął się, otworzył szeroko oczy, wlepiając w moją twarz spojrzenie, którego wyrazu opisać nie zdołam.

Potem porwał się z głośnym krzykiem.

— Gdzie jestem? co to się stało?

— Nic, nic, jesteś uratowany. Uciekaliśmy z płomieni — przemówiłem łagodnie.

Dźwięk mego głosu, widok gorejących wciąż jeszcze w oddali przestrzeni, oprzytomnił go do reszty.

— Pożar! O mój Boże! co się dzieje z Forsterem? — rzucił jednym tchem, wznosząc ramię z groźnie zaciśniętą pięścią.

— Panie, jesteś tchórzem, kujotem, jak cię już nazwałem — miotał namiętne nienawiścią wyrazy. — Mogłeś był ocalić ich wszystkich, wszystkich! Uciekłeś jak szakal spłoszony szczekaniem psa. Pogardzam tobą, chcę pójść tam... do... nich!...

Zrywał się, zatrzymałem go za rękę.

— Zostań. Nie uratujesz tam już nikogo a siebie zgubisz.

— Puść mnie! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, ty tchórzu! Puszczaj!

Wyrwał swą rękę i uszedł. W ręku został mi jakiś mały okrągły przedmiot. Był to pierścień, który zsunął się z palca Harry'ego wśród walki,

Rzuciłem się w pościg za chłopcem. Zniknął jednak wśród załomów skalnych.

Nie byłem wcale rozgniewany tylko zgnębiony tą ucieczką. Harry był młodzieniaszkiem, którego niespodziewane niebezpieczeństwo wytrąciło z równowagi i odebrało zimną krew, tak pomocną w wydawaniu sprawiedliwych sądów.

Włożyłem pierścień na palec i usiadłem na ziemi, musiałem bowiem wypocząć po strasznym wysiłku. Musia-

łem przepędzić tak noc, oczekując brzasku dnia, bo przedtem niemożliwością było udać się w drogę.

Nerwy moje były silnie wzburzone, nie mógł ich też uspokojć widok doliny zalanej ognistą falą, zdawała mi się istnem piekłem, z którego wydarłem się cudem.

Dobyłem z plecaka nowe ubranie i przebrałem się, to odświeżyło mnie trochę.

W pobliżu leżał Swallow. Było dosyć trawy dokoła, ale biedne zwierzę śmiertelnie znużone nie mogło jeść.

Chciałem zasnąć, uparcie powracająca jednak myśl, co się też stało z mieszkańcami doliny, nie dała mi zmrużyć oka. Czuwałem całą noc, patrząc od czasu do czasu w dolinę. Ogień zmniejszył się trochę, nafta jednak tryskała z otworu wiertniczego w górę na trzydzieści łokci, było to fontanna płomienista, sypiąca tysiące iskier, spadająca ku ziemi, gdzie zamieniała się w ognistą wstęgę, spływającą ku rzece.

Tak działo się przez całą tę straszną noc. Pożar nie mógł zresztą ustać, jak długo, podsycał go wypływający wciąż olej. Brzask poranny złagodził nieco grozę widoku, odsłonił jednak zniszczenie. Oprócz małego domku, stojącego na wzniesieniu najwyższem doliny, wszystko znikło bez śladu. Budynek mieszkalny, zabudowania fabryczne, magazyny, stały się pastwą płomieni. Cała dolina wyglądała jak olbrzymia przepalona patelnia, z jakąś zwęgloną smażeniną.

Przed wyżej wspomnianym domkiem stała gromadka ludzi, wśród której zauważyłem Harry'ego. Szalony chłopak przebył przecież tę straszną, powrotną drogę!

Teraz we dnie, nie było to żadną sztuką. Przedemną ciągnęła się ścieżka, którą przybyliśmy wczoraj. Począłem nią iść, wkrótce też zauważono mnie, bo Harry wskazywał mnie swym towarzyszom. Jeden z nich wszedł do domku i ukazał się wkrótce na progu uzbrojony karabinem. Szedł ku mnie i zatrzymał się na przeciwległym brzegu rzeki, czekając aż się przybliżę, potem zawołał:

— Halo! człowieku. Czego szukasz tu jeszcze. Zmykaj, jeżeli nie chcesz poczuć kuli pod piątem żebrem!

— Zostałem, aby wam przyjść w pomoc, o ile zdołam — odpowiedziałem spokojnie.

— Aha! — zaśmiał się drwiąco. Znamy się na takiej pomocy.

— Muszę także pomówić z Harrym.

— To będzie trochę trudno!

— Mam mu coś oddać.

— Tere fere! Ciekawym, jakie to podarunki rozdaje taki drab! Podły tchórz, i podpalacz!

Oniemiałem. Jakto? oskarżają mnie o taką zbrodniczą zemstę!

Milczenie moje wydało się widocznie strachem, człowiek z karabinem bowiem począł znowu:

— Patrzcie go, jaka trusia! No, wynoś się w te pędy, inaczej kulka w łeb.

Zmierzył się do mnie, ja zaś zawołałem gniewnie:

— Co też gadacie? O podpaleniu niema tu mowy. Gazy zapaliły się od waszych świateł. Sobie podziękujcie za waszą nieroztropność!

— Dobrze już, dobrze. Wynosić się, albo strzelam!

— Czyż byłbym ratował chłopca z narażeniem własnego życia, gdybym był zbrodniarzem?

— Wymówki! Gdybyś był chciał naprawdę ratować tobyś był ratował wszystkich. Oto masz zapłatę!

Wystrzelił... Ani drgnąłem i to było właśnie dobrze, bo źle celował i chybił. Miałem wielką ochotę odpowiedzieć mu trafnym strzałem, nie zrobiłem tego jednak, ale począłem powoli wstępować na górę drogą powrotną, nie oglądając się poza siebie. Jeżeli zamiast podziękowania za ocalenie życia rzucają w twarz oskarżenie o zbrodnię, to należy chyba odwrócić się i otrząść pył z obuwia.

Wsiadłem na mego mustanga i odjechałem.

— — — — — — — — — — — — — —

W parę dni potem dotarłem do prerji Gravel, gdzie miałem czekać przez tydzień na Winnetona.

Nie groziła mi żadna bieda, bo miałem zwierzyny pod dostatkiem, o nudach lub samotności także mowy nie było, bo włóczyły się tamtędy wciąż gromady Siuxów, trzeba więc było przeżywać przeróżne wzruszenia, w przeróżnych kryjówkach.

Kiedy Winneton przyjechał i dowiedział się o owych wędrówkach Czerwonoskórych, był tegoż samego co i ja zdania, aby wyruszyć dalej natychmiast.

Cieszyłem się niezmiernie, że zobaczę słynnego trapera, zwanego „ognistą ręką“ i że dowiem się od niego niejednej rzeczy. Aby się dostać do niego, trzeba było przebyć drogę dosyć niebezpieczną, jak o tem przekonaliśmy się zaraz dnia następnego, natrafiając na ślady Indjanina.

Przeszukałem starannie cały teren. Koń Indjanina był przywiązany prawdopodobnie, bo powygryzał w jednem i tem samem miejscu paszę, jeździec leżał na ziemi jak to wskazywały zgniecione kępki trawy, bawił się widocznie łukiem, przyczem złamała mu się strzała, której ułamki wbrew przezorności dzikich zostawił porzucone za sobą. Podniosłem je, aby się im przypatrzeć, była to strzała z łuku wojennego.

Niedoświadczony to musiał być i młody wojownik, inaczej byłby zagrzebał owe zdradzające go kawałki strzały. Ślad jego nogi wskazywał również, że był to wyrostek, a nie mężczyzna.

Szliśmy za śladem natrafionym, aż do wieczora. Zmierzch zapadał, byliśmy więc zmuszeni zsiąść z koni i zatrzymać się w miejscu, jeżeli nie chcieliśmy zgubić tropu.

Wybraliśmy na przystanek faliste wzniesienie, były one bardzo liczne w tej części prerji, tak, że podobna była do morza wzdętego falami. Przyłożyłem do oczu dalekowidz, badając okolicę. Zauważyłem długą, prostą linję, ciągnącą się od wschodu wzdłuż horyzontu północnego, aż do najdalszego punktu na zachodzie. Podałem lunetę Winnetonowi, który chrząknął znacząco.

— A wiesz ty bracie, co to za ścieżka — spytałem. — Nie wydeptały jej bizony, ale stopy dzikich.

— Wiem to — odpowiedział Winneton. — Jestto ślad ognistego szlaku dzikich, których dziś jeszcze zobaczymy.

Podniósł znowu do oczu lunetę i patrzył z zajęciem. Naraz opuścił ją, zbliżył się do konia, rzucił się w siodło i szybko pokłusował w dolinę.

Bez namysłu zrobiłem to samo.

— Tam leżą dzicy ukryci za grzbietem wzniesienia — zawołał Winneton. — Zobaczyłem jednego z ich koni.

Zrobiliśmy dobrze, żeśmy się zagłębili w dolinę, na pagórku bowiem mogli nas byli zauważyć dzicy. Odległość wprawdzie była znaczna nawet dla bystrego wzroku Indjan, wiedziałem jednak, że dzicy posługują się często lunetami.

Chociaż byłem przekonany, że Indjanie nie przeczuwają naszej obecności, starałem się przecież o zasłonę, ukryty, leżąc na ziemi, mogłem obserwować ich swobodnie.

Było ich trzydziestu. Wszyscy uzbrojeni bronią palną jakoteż i łukami. Twarze mieli pomalowane, jakto wojenny zwyczaj każe. Liczba uwiązanych do pali koni była znaczna.

Usłyszałem za sobą szmer. Odwróciłem się szybko. Był to Winneton.

— Uff! — westchnął. — Mój brat jest bardzo śmiały, że się tak naprzód wysunął. To są Indjanie z plemienia Ponkas, najzuchwalsi ze Siuxów, a tam leży Parranoh, biały wódz.

— Biały wódz? — zapytałem zdziwiony.

— Czy mój przyjaciel nie słyszał nic o Parranohu, okrutnym wodzu Atabesków? Nikt nie wie skąd przyszedł, ale potężny to wojownik, przyjęty do rady czerwonych mężów. Gdy siwe głowy odeszły do Manitona, Wielkiego Ducha, on został obrany wodzem i wiele uzbierał skalpów. Potem opętał go zły duch, obchodził się z wojownikami jak z bydłem. musiał więc uciekać, bo grozili mu zemstą. Teraz zasiada w radzie plemienia Ponkas, które powiedzie do wielkich czynów.

— Czy mój brat zna jego twarz?

— Winneton mierzył swój tomahawk z jego. Ale biały wojownik podstępny jest, walczy nieuczciwie.

— To zdrajca. On chce mordować moich braci i rabować ich mienie.

— Mordować białych! Czyż nie jest on sam z ich rodu?

— Co uczyni mój przyjaciel?

— Zaczeka co zrobi Parranoh. A potem, gdy będzie potrzeba pojedzie naprzeciw białych braci, aby ich przestrzedz.

Zmrok gęstniał coraz bardziej, tak, że trudno już było mieć na oku Indjan.

Musiałem jednak wiedzieć na pewno co zrobić postanowią, nie chciałem więc zejść ze stanowiska. Poprosiłem Winnetona, aby wracał do koni i tam czekał na mnie.

Zgodził się na to mówiąc:

— Jeżeli mój brat znalazłby się w niebezpieczeństwie, niech mi da znać krzykiem kury stepowej. Przyjdę mu z pomocą.

Odszedł, ja zaś pełzając i nadstawiając uszy na szmer najlżejszy posuwałem się naprzód w kierunku skośnym. Trwało to dosyć długo, dotarłem nareszcie do miejsca, gdzie Ponkasowie rozbili obóz.

Znalazłem się w ich pobliżu i zauważyłem że gromadzili kamienie na stosy, musiały być bardzo duże i ciężkie, jak sądziłem z głośnego oddechu dźwigających. Nie było ani chwili czasu do stracenia, cofnąłem się pełzając, potem podniosłem się i udałem się w drogę powrotną. Nie

wiedziałem, w jakim punkcie drogi kolei żelaznej się znajdowałem, nie wiedziałem też kiedy nadejdzie pociąg, domyślałem się tylko, z której strony należy go oczekiwać.

Pociąg mógł okazać się lada chwila, aby ocalić go przed niebezpieczeństwem należałoby zrobić duży przeskok w przód.

Pełen wzruszenia zrównałem się z Winnetonem, porozumieliśmy się kilkoma słowy i dosiedli koni. Ostrym kłusem ruszyliśmy wzdłuż toru w kierunku wschodnim.

Byłoby nam się przydało trochę poświaty księżyca, musieliśmy się jednak zadowolnić blaskiem gwiazd, który trochę rozświetlał drogę.

Kwadrans mijał za kwadransem.

Jeżeli zauważą nas tam w pociągu, niebezpieczeństwo będzie odwrócone.

Byłoby jednak najlepiej, gdyby Indjanie nic o tem nie wiedzieli. Teren jednak był równy, a lokomotywy amerykańskie zaopatrzone rewerberami, rzucającymi światło na pąrę mil utrudniały całą sprawę.

Pędziliśmy więc w milczeniu, pożerając formalnie przestrzeń.

Zdawało mi się, że należy się teraz zatrzymać. Zsiadłem z konia, Winneton poszedł za moim przykładem. Po uwiązaniu koni, zebrałem pęk suchej trawy, skręcając ją w rodzaj pochodni, którą łatwo podpalić można będzie, posypując ją prochem. Należało teraz czekać.

Ułożyliśmy się na naszych derach, wpatrzeni w tor kolejowy, nasłuchując uważnie.

Nakoniec, tam w oddali błysnęło światło, podobne do punktu gorejącego, który wzrastał nam w oczach. Po-

tem pochwyciliśmy słuchem dudnienie, zbliżało się, potężniało, podobne do huku dalekiego grzmotu.

Chwila oczekiwana nadeszła.

W olśniewającym snopie światła, pędził pociąg. Dobyłem rewolwer i strzeliłem do wiązki trawy, która buchnęła płomieniem, uniosłem ją w górę wysoko, drugą ręką dając znak, aby się pociąg zatrzymał.

Maszynista zauważył ten znak widocznie, bo wkrótce rozległ się przeszywający świst, powtarzający się parę razy, pociąg przesunął się mimo nas i zatrzymał się. Nie zważając na wychylających się urzędników ruchu, z swych miejsc wysoko umieszczonych, pospieszyłem wzdłuż wozów aż do lokomotywy, rzuciłem moją derę na reflektor i zawołałem jak mogłem najgłośniej:

— Gasić światła!

Natychmiast pogasły latarnie. Kolejarze amerykańscy pełni są przytomności umysłu i zimnej krwi.

— Do licha! — zawołał któryś z maszynistów.

— Po co przykrywasz pan reflektor? Czy zanosi się na jakąś awanturę?

— Musicie stłumić światła! — odpowiedziałem. — Indjanie są tu, w pobliżu, chcą wykoleić pociąg.

— Ba, to w takim razie jesteś pan najdzielniejszym zuchem ze wszystkich zuchów, depcących te przeklęte prerje — wykrzyknął maszynista, zeskoczył żywo i podziękował mi iście amerykańskim uściskiem dłoni.

W parę minut obskoczyli nas nieliczni pasażerowie.

— Co to takiego? Co się stało? Dlaczego się zatrzymujemy? — powtarzali w kółko.

Objaśniłem ich w krótkich słowach. Niemałe było poruszenie.

— Bardzo dobrze! — zauważył inżynier.

— Chociaż jest przerwa w komunikacji, ale za to mamy sposobność przepłoszyć tych czerwonoskórych hultajów. Nieliczna nas garstka, ale dobrze uzbrojona. Ilu może być dzikich?

— Doliczyłem się trzydziestu Ponkasów.

— Well! Sprobujemy się z nimi z ochotą. Lecz jakiegoż to pan masz towarzysza? Na Boga, to Czerwonoskóry!

— Bądź zupełnie spokojny, sir. To jest mój druh-myśliwiec, który cieszy się z pewnością, że pozna śmiałych jeźdzców „ognistego rumaka".

— To co innego. Jak on się nazywa?

— Winneton, wódz Apaszów.

— Winneton — zawołał w głębi jakiś człowiek przeciskający się przez gromadkę osób.

Był to istny olbrzym odziany w strój myśliwych z prerji. Zatrzymał się przed wodzem Apaszów i zagadnął go serdecznie:

— Czy Winneton zapomniał już o swoim przyjacielu?

— Oh! — odparł Indjanin z widoczną radością.

— Jakżeby Winneton mógł zapomnieć o najmężniejszym z białych strzelców o „ręce ognistej".

— Wierzę, wierzę ci kochany bracie, i moja pamięć o tobie niezgorsza.

— „Ognista ręka"! — rozległ się dokoła szmer podziwienia, obecni cofnęli się z uszanowaniem przed znakomitym strzelcem, zaciętym wrogiem Indjan, z którego

osobą zrosły się legendarne prawie powieści, krążące wśród myśliwych prerji.

— „Ognista ręka“ — powtórzył inżynier. — Dlaczegoż ukrywałeś zaszczytne twe imię przyjacielu przy wsiadaniu. Byłbym ci wyznaczył najlepsze miejsce!

— Dziękuję sir, było i tak dobrze! Nie traćmy jednak czasu na rozhoworach, radźmy lepiej, jakby to zgnębić czatujących na nas czerwonoskórych.

Natychmiast wszyscy otoczyli „ognistą rękę“, ja zaś musiałem raz jeszcze powtórzyć cały przebieg sprawy.

— A zatem jesteś pan przyjacielem Winnetona — wymówił sławny strzelec. — Komu on okazuje szacunek, ten musi być wart niemało. Oto moja ręka!

— Tak jest, to mój przyjaciel i brat — wtrącił Winneton. — Piliśmy razem krew pojednania.

— Piliście krew? — rzucił szybko „Ognista ręka“ zbliżając się ku mnie.

— Ten człowiek zatem jest...

— „Siarczystą ręką“, pod której pięścią miał się z pyszna każdy przeciwnik,

— „Siarczysta ręka“, „siarczysta ręka“ — wołali obecni, cisnąc się dokoła mnie.

— „Ognista ręka“, „siarczysta ręka“ i Winneton, to mi spotkanie! Trzej najsławniejsi mężowie Zachodu, trzej niezwyciężeni! Krucho będzie z czerwonemi kanaljami! Mówcie, rozkazujcie, co mamy uczynić.

— Z tymi tam czerwonymi hultajami, nie będziemy robili ceremonji — zauważył „Ognista ręka“. Wystrzelamy ich jak wróbli.

— To są jednak ludzie — zauważyłem.

— Różniący się mało od zwierząt — odparł.

— Słyszałem dosyć o twej dla nich względności panie. Gdybyś jednak był przeżył to wszystko, co ja przeżyłem zmieniłbyś zdanie. A ten motłoch Parranojów, tych zbrodniarzy i bezczelników, policzy dosadnie mój tomahawk. Mam ja z nimi obrachunki które krwią spłacić należy!

— Słusznie, słusznie — przytakiwał inżynier. Niema co oszczędzać tych chłystków. Jaki plan poweźmiemy?

— Personal służbowy pociągu zostanie przy wagonach. Nie chcemy was mieszać w bitwę. Inni jednak gentlemeni mogą sobie zrobić tę przyjemność i poturbować tych łotrów, którym się zachciało napadać pociągi i rabować. Podpełzniemy w ciemności prosto na nich i napadniemy. Ani im się o tem śni, dlatego popłoch powstanie wielki. Jak tylko ich rozprószymy, damy znak wystrzałem. Wtedy pociąg może się zbliżyć, ale pomału i ostrożnie, nie wiemy bowiem, czy uda się nam usunąć wszystkie przeszkody. Zatem, kto idzie z nami?

— Ja, ja, ja! — wołali wszyscy. Nikt nie chciał zostać oprócz personalu służbowego.

— A więc broń na ramię i w drogę!

Nie mamy czasu do stracenia. Czerwoni wiedzą, kiedy nadchodzi pociąg, zwłoka wyda się im podejrzana.

Ruszyliśmy, Winneton i ja szliśmy na czele orszaku.

Głęboka cisza panowała dokoła, staraliśmy się nie zmącić jej ni szmerem.

Nic nie zdradzało, że tą na pozór uśpiona oddechem nocy równina, stanie się wkrótce widownią krwawych zapasów.

Księżyc wypłynął tymczasem z poza chmur, zalewając przestrzenie swem błękitnem srebrem. Jasno było jak w dzień. Utrudniało nam to pełzanie z jednej strony, z drugiej zaś było nam pomocnem. W ciemności bowiem nie moglibyśmy oznaczyć miejsca, na którem widzieliśmy Ponkasów i natknąć się na nich niespodzianie. Tego nie obawialiśmy się teraz.

Od czasu do czasu podsuwając się i unosząc się ostrożnie, wysyłałem oczy me na zwiady. Zauważyłem na wzniesieniu wystającem z boku jakąś postać, odcinającą się na tle horyzontu. Postawiono więc straż.

Po paru minutach, zobaczyliśmy gromadkę Ponkasów, leżących bez ruchu na ziemi. Niedaleko poza nimi obozowały, przywiązane do słupów, konie. Była to okoliczność utrudniająca atak, zwierzęta bowiem przestraszone naszem pojawieniem się mogły były nas zdradzić.

Równocześnie, prawie natknęliśmy się na barykadę, zbudowaną dla rozbicia się pociągu. Był to stos wielkich kamieni, ułożonych bardzo zręcznie, patrzyłem na nie ze zgrozą, myśląc o strasznej katastrofie, którą spowodować miały.

Znaleźliśmy się teraz właśnie naprzeciw Ponkasów, ułożyliśmy się więc na ziemi, trzymając broń w pogotowiu.

Czekaliśmy.

Najpilniejszą rzeczą teraz było zgładzić stróżującego Ponkasa. Zadanie to tak trudne do spełnienia z powodu poświaty księżyca, przypadło Winnetonowi w udziale. Popełzał cicho i szybko, a w parę chwil potem sylwetka Indjanina zniknęła jakoby w ziemię zapadła. Lecz niebawem zarysowała się znowu groźna, nieruchoma.

Wiedziałem dobrze, co to znaczy. Na posterunku zajął teraz miejsce Winneton, który tak szybko wysłał Indjanina na tamten świat, że nie miał czasu nie tylko się bronić, ale nawet krzyknąć.

Była to znowu jedna z jego mistrzowskich sztuczek wojennych. Powiodła się znakomicie, w obozie Ponkasów bowiem panował zupełny spokój, nie zauważyli więc nic.

Teraz mogliśmy gotować się do ataku.

Nie dano nam jednak jeszcze umówionego znaku, kiedy padł strzał przedwczesny. Jeden z naszych ludzi przez nieostrożność wypalił z rewolweru. Nie można więc było czekać, rzuciliśmy się na dzikich.

Atak nasz wywołał popłoch nieopisany. Czerwonoskórzy z błyskawiczną szybkością jednak orjentując się w sytuacji, dosiedli koni, szykując się w niejakiej odległości w pozycji obronnej.

— Baczność! — zawołał „Ognista ręka". Celujcie w konie, aby hultaje znaleźli się na ziemi.

Daliśmy ognia. Szereg Indjan zbił się, skłębił w masę powalonych koni i ciał ludzkich, z której wymykały się oddzielne postaci, szukające ratunku w ucieczce.

Braliśmy je na cel, kładąc trupem. „Ognista ręka" i Winneton z tomahawkami, wzniesionymi w górę, rzucili się na Indjan, ochotnicy nasi zaś, strzelali z daleka z rewolwerów, często zdarzało się im chybić, a jeszcze częściej zmykać, kiedy który z dzikich rzucał się ku nim, wyjąc jak dzikie zwierzę.

Wystrzeliłem ostatnią moją kulę, dobyłem więc mój tomahawk i poszedłem za przykładem tamtych zuchów.

Wspaniały był widok „Ognistej ręki". Nieporuszony, niby wrośnięty w ziemię, górujący barczystą swą postawą nad bitwy tumultem, dzierżył w olbrzymiej swej dłoni tomahawk, który spadał na głowy dzikich miażdżącym obuchem.

Spostrzegłem Parranoha w pośrodku garstki Indjan, chciałem się z nim zmierzyć, ten sam zamiar miał także Winneton. Rzucił się bowiem ku niemu wołając:

— Parranoh! Pies Atabaskahów ucieka przed wodzem Apaszów! Usta ziemi wypiją krew Parranoha, a szpony sępa rozdzierać będą jego ciało. Skalp jego zaś zawiśnie u pasa Apasza!

Odrzucił tomahawk, dobył noża z za pasa ustrojonego skalpami i chciwą ręką pochwycił przeciwnika za gardło.

Nie zdążył jeszcze zadać mu ciosu śmiertelnego, kiedy „Ognistej ręki" dłoń żelazna zaciężyła mu na ramieniu.

— Stój — wymówił olbrzym — ten człowiek do mnie należy. Tim Finnetey, spotykamy się wreszcie!

Parranoh patrzył z przerażeniem w twarz starego skwatera, groźną, niemiłosierną, straszną w pozornym swym spokoju. Nadludzkim wysiłkiem wydarł się z rąk Winnetona i rzucił się do ucieczki.

Poskoczyłem za nim natychmiast, mając za sobą Winnetona i „Ognistą rękę".

Pędziłem jak szalony, miałem bowiem do czynienia z biegaczem nielada. „Ognista ręka" nie zdoła mu sprostać, wiek jego nie pozwalał na takie wyścigi, a także i Winneton musiał ustąpić mi pierwszeństwa w bieganiu.

Zauważyłem z zadowoleniem, że Parranoh popełnił

wielki błąd, pędząc wciąż prosto przed siebie, odstępując od zwykłej taktyki Indjan w ucieczce, rzucania się zygzakiem.

Wyprzedzałem coraz bardziej moich przyjaciół, usłyszałem też głos Winnetona w dosyć dużem oddaleniu:

— „Ognista ręka" może się zatrzymać. Mój młody, biały brat pochwyci ropuchę Atabaskahów i zabije ją. Ma on nogi jelenia, nikt go nie przegoni.

Nie miałem czasu obejrzeć się czy stary skwater usłuchał Winnetona. Musiałem bowiem wciąż mieć na oku zbiega.

Zauważyłem, że pęd jego słabnie, poczynałem go też dopędzać, słyszałem już jego zdyszany oddech. Nie miałem przy sobie innej broni oprócz wystrzelonych rewolwerów i noża, który dobyłem z za pasa.

Parranoh uskoczył nagle w bok, aby przepuścić mnie przodem i zadać cios śmiertelny w plecy. Byłem jednak przygotowany na ten manewr, dałem więc susa równocześnie, tak, że zderzyliśmy się całą siłą ze sobą. W tej samej chwili zatopiłem mu nóż w serce aż po rękojeść.

Cios był tak silny i nagły, że upadający Parranoh pociągnął mnie za sobą. Dźwignąłem się natychmiast, nie wiedziałem bowiem, czy nieprzyjaciel mój trafiony śmiertelnie. Leżał jednak nieruchomy jak głaz.

Dobyłem przeto nóż z rany. Opanowało mnie przytem pewne przygnębienie, po raz to pierwszy z ręki mojej padł człowiek wspólnej ze mną rasy. A chociaż nędznikiem był i zbrodniarzem, to przecież rodzaj wyrzutu obudził się w mej duszy.

Trwało to jednak krótko, tak krótko, jak wszelkie wzruszenia, zrodzone w zgiełku bitwy.

Usłyszałem też dudnienie kroków pędzącego człowieka, trzeba więc było mieć się na baczności. Był to jednak Winneton. Nie chciał zostawić mnie samego, poczciwy druh!

— Brat mój pędzi jak strzała Apaszów, a nóż jego zabija jak piorun — wymówił spostrzegłszy zabitego.

— Gdzie jest „Ognista ręka“? — spytałem.

— On jest silny jak niedźwiedź, ale stopy jego powstrzymuje ręka starości. Czy mój brat ozdobi swój pas skalpem Atabaska?

— Daruję go mojemu czerwonemu bratu.

Widocznie uradowany Winneton tym ponurym podarkiem pochwycił ciało zabitego. Trzema cięciami oddzielił skórę od czaszki. Odwróciłem się przejęty mimowolnie, utkwiłem oczy w przestrzeni. Poruszały się w niej ciemne punkty, zbliżające się ku nam powoli. Byli to Ponkasowie, posuwający się przezornie naprzód. Wybrali się zapewne na zwiady, czy nie uda się im odszukać swoich ludzi, którzy pierzchnęli z placu boju.

— Baczność — rzuciłem. — Winneton musi położyć się na ziemi. Ponkasowie nadchodzą!

Apasz przylgnął natychmiast do ziemi i począł pełzać, poszedłem za jego przykładem. Zauważyliśmy teraz, że nasi nieprzyjaciele prowadzili koni, byli więc przygotowani do ucieczki. Dla nas jednak było to niekorzystnem, należało nam więc odebrać im wierzchowce. Dlatego pełzaliśmy zakreślając łuk, aby zajść im tyły.

Ponkasowie tymczasem natknęli się na zwłoki Alabaska. Wydali okrzyk zdumienia, znajdowali się bowiem tak daleko od miejsca właściwej potyczki, że widok zabitego był tu dla nich niespodzianką. Oskalpowana głowa wznieciła ich wściekłość. Wydawali wyjące okrzyki, cisnąc się dokoła martwego ciała.

Była to sposobna chwila do wykonania naszego zamiaru.

Z szybkością błyskawicy rzuciliśmy się do koni pozostawionych na uboczu, pochwyciliśmy je za uzdy, dosiedli i pognali galopem ku naszym. Byliśmy zadowoleni, że udało mam się ujść, unosząc skalp i konie. Nie mając broni, nie mogliśmy podjąć walki z nieprzyjacielem przeważającym nas liczebnie. Troszczyliśmy się tylko o „rękę ognistą". Mogło się bowiem zdarzyć, że starego naszego przyjaciela spotkała także jaka gromadka maruderów Ponkasów.

Troska ta była usprawiedliwiona, nie zastaliśmy bowiem „Ognistej ręki" na miejscu boju. Przedstawiał on się teraz wcale inaczej.

Turyści nasi krzątali się znosząc ciała zabitych czerwonoskórych, na torze kolejowym paliły się ognie, oświetlając przestrzeń i służąc zarazem jako sygnały, personalowi pociągu.

Zauważono je, wkrótce bowiem nadjechał pociąg i zatrzymał się przy owych ogniach. Urzędnicy wyskoczyli z wagonów. Poczęli rozpytywać się żywo o wynik walki, nie szczędząc nam pochwał. Szczególniej konduktor zapewniał nas, że zda sprawę z naszych czynów i że imiona nasze wsławią się szeroko i daleko.

— Obejdzie się bez tego, mój panie — zauważyłem. — Jesteśmy skromnymi sobie ludźmi i zrezygnujemy ze sławy. Jeżeli jednak koniecznie chcecie dąć w puzony na czyjąś cześć, to macie tu tych oto gentlemenów, którzy wyszafowali dużo prochu. Należy się im przeto uznanie.

— Czy pan to mówi serjo? — pytał konduktor.

— Naturalnie.

— Gentlemeni ci byli naprawdę tak dzielni?

— Niezmiernie.

— Cieszy mnie to. Zapiszę sobie ich nazwiska i opublikuję. Gdzie jest jednak „Ognista ręka"? Nie myślę przecie, że zucha naszego należy mi szukać wśród poległych.

Na to wysunął się Winneton ze słowami:

— Mój brat „Ognista ręka" zgubił trop Parranoh i spotkał może nieprzyjaciół. Pójdziemy szukać go z „Siarczystą ręką".

— Tak jest — dorzuciłem — musimy się spieszyć. Przyjaciel nasz może być w niebezpieczeństwie. Prawdopodobnie zastaniemy was tu jeszcze gdy powrócimy.

Winneton i ja uzbroiliśmy się w nasze karabiny i tomahawki, które odrzuciliśmy przed ściganiem Parranoh i pospieszyliśmy w tym samym kierunku, w którym podążył był „Ognista ręka".

Patrzyliśmy pilnie dokoła, księżyc jednak świecił blado, nie mogliśmy więc widzieć na odległość. Nadsłuchiwaliśmy więc z natężeniem każdego szmeru i szelestu, ufając więcej uszom naszym niż oczom.

Naraz usłyszeliśmy wołanie w oddali.

— To nasz brat woła — rzekł Winneton.

— Ponkasowie nie zdradziliby się hałasem.

— Jestem tego samego zdania — dorzuciłem. — Spieszmy się.

— Tak jest, biegnijmy!

Popędziliśmy w kierunku wschodnim, ztamtąd bowiem dochodził nas głos. Po niejakimś czasie spostrzegłem w oddali walczących ludzi.

— Nadchodzę już, nadchodzę — wołałem, sadząc coraz większymi susami.

Teraz grupa ludzi zarysowała się już wyraźnie.

„Ognista ręka" klęczał na ziemi, prawdopodobnie ranny i walczył z trzema dzikimi. Trzech zaś leżało martwych. Byli to ci sami Ponkasowie, którym zabraliśmy konie.

Zmierzyłem ze sztućca, było to strzelanie na los szczęścia z powodu odległości jakich pięćdziesięciu kroków i niepewnego oświetlenia. Musiałem jednak ważyć się na to. Trzy strzały, jeden po drugm i oto powaliłem trzech czerwonoskórych.

Pobiegłem ku „Ognistej ręce".

— Bogu niech będą dzięki — zawołał. — Najwyższy był czas!

— Jesteście zranieni? — pytałem. — Czy niebezpiecznie?

— Nie myślę — odparł. — Dwa cięcia tomahawkiem w nogę.

— Rany krwawią silnie, pozwólcie się opatrzyć.

Razem z Winnetonem, który był nadszedł, obandażowaliśmy bardzo bolesne rany, lecz nie śmiertelne.

Sześć powalonych Ponkasów zostawiliśmy za sobą, udając się w drogę powrotną. Trwała ona bardzo długo, bo „Ognista ręka“ zaledwie wlókł się krok za krokiem. Kiedyśmy doszli do toru kolejowego, nie zastaliśmy już pociągu.

Na szczęście mieliśmy konie własne i zdobyte na Ponkasach. Mogliśmy więc podjąć drogę, musieliśmy tylko zaczekać, aż „Ognista ręka“ wyleczy się z ran o tyle, aby mógł dosiąść konia. Chodziło tu zapewne o tygodniową zwłokę.

II.

Upłynął szereg dni. „Ognista ręka“ zapewnił nas, że nadszedł czas podróży. Udaliśmy się więc w drogę pełni ochoty, wypoczęci i zadowoleni, że przebyliśmy różnorodne niebezpieczeństwa bez szwanku.

Posuwaliśmy się raźno naprzód. Do zwierzyny nie strzelaliśmy, aby nie zwracać uwagi włóczących się może tu i ówdzie gromad czerwonoskórych. Nie brakło nam jednak pożywienia, bo chwytaliśmy zdobycz w zastawione sieci.

Od czasu do czasu obozowaliśmy przy zapalonem ognisku.

Winneton odprawiał straż pilnie, mówiąc:

Oko Apasza czuwa nieustannie. Nie dowierza bowiem nocy, która jest kobietą.

„Ognista ręka“ dobywał fajki i nakładał ją powoli, z zadowoleniem.

— Winneton nienawidzi kobiet — zauważyłem.

— Może i nie.

— Ze słów jego to wnoszę.

— Tak nie jest. Była niegdyś pewna kobieta, o którą byłbym z człowiekiem i z szatanem szedł w zapasy.

— Dlaczegoś nie wprowadził jej do swej chaty?

— Kochała innego.

— Indjanin nie pyta oto.

— Ten inny jednak był przyjacielem Winnetona!

— A jego imię?

— Obecnie „Ognista ręka".

Spojrzałem zdumiony. Znalazłem się oto wobec jednego z tych dramatów, w które tak obfitują dzieje Nowego Świata. Wśród nich to kształtują się owe silne charaktery, owe zamknięte w sobie dusze pełne mocy i wierności.

Nie chciałem pytać dłużej, z twarzy mojej jednak wyczytać mógł stary skwater bezmierne zainteresowanie. Począł znowu po chwili:

— Zostawmy przeszłość w spokoju, panie. Gdybym jednak chciał mówić o dawnych sprawach, na honor, byłbyś jedynym człowiekiem, przed którym rozgarniałbym swe popioły. Polubiłem cię!

— Dziękuję. Odwzajemniam ci się szczerą przyjaźnią.

Wiem to, wiem. Dałeś przecież dowody, owej nocy, kiedy to obskoczyły mnie te czerwone draby. Żałuję tylko, że sam nie mogłem wyrównać rachunku mego z Timem Finnetey. O! gdyby był poczuł smak mego żelaza, ten łotr wierutny!

Otwartą, spokojną jego twarz przebiegł wyraz nie-

nawiści. Pomyślałem, że nie mały musiał to być ów zaległy rachunek z Timem.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ciągnęliśmy dalej krainą plemienia Rapahos i Pawness, dążąc ku Mankizili, na brzegu której „Ognista ręka“ miał swoją „twierdzę“. Byliśmy bardzo spragnieni poznać ją jak najprędzej.

Przebyliśmy już Kehupahau, niedługo więc już powitamy Mankizilię.

Miałem zamiar przyłączyć się tam do strzelców, dostarczających futer rynkom Europy, była to armja, którą dowodził „Ognista ręka“. Miałem nadzieję, że w tej zażyłości uda mi się wyłowić coś z przeszłości starego zucha. Tymczasem nie zadawałem mu więcej pytań, lecz siedziałem w milczeniu, podsycając od czasu do czasu ogień.

Odblask strzelającego w górę płomienia, padł mi na rękę, pierścionek, który miałem na palcu zabłysnął, rozzłocił się.

„Ognista ręka“ poruszył się żywo.

— Co to jest za pierścionek? — zagadnął.

— Ten pierścionek, to pamiątka najstraszniejszej godziny, jaką przeżyłem w życiu.

— Czy mogę mu się przypatrzeć?

Podałem pierścionek „Ognistej ręce“. Pochwycił go wzruszony widocznie i spytał:

— Kto wam dał ten pierścionek?

— Pewien chłopak w New-Venango.

— W New-Venango? Byłeś u Forstera? Ten chło-

pak nazywa się Harry, nieprawdaż? O jakiej to strasznej godzinie mówiłeś?

— Była to przygoda nielada. O mało nie upiekłem się żywcem, razem z moim poczciwym Swallow — odpowiedziałem, wyciągając rękę po pierścionek.

— Ach, nie! nie oddam pierścionka — rzucił żywo „Ognista ręka". Mam do niego najświętsze prawo. Gdyby się znalazł w ręku innego człowieka, biada mu!

Ogarnęło mnie nieopisane zdumienie połączone z niejasnem jakiemś wzruszeniem. Co to wszystko miało znaczyć? Ten człowiek znał Forstera, znał Harry'ego, a imię młodego chłopca poruszało w nim jakieś wspomnienia bolesne?

Począłem opowiadać mu przebieg zdarzenia w New-Venango.

Słuchał z natężeniem, zawisnął oczami na ustach moich chwytając nieomal spojrzeniem wyrazy, twarz jego mieniła się wielorakiem wzruszeniem. Pochwycił moją rękę i gniótł ją w uścisku, jak człowiek przerażony.

— To było nieludzkie, piekielne, — szepnął, oddychając głęboko, kiedy skończyłem opowiadanie. — Zdawało mi się, że przeżywam sam te straszne chwile. Chociaż wiedziałem naprzód, że ocaliłeś chłopca. Inaczej nie byłby ci dał pierścienia.

— Wcale mi go nie dał. Zsunął mu się z palca, czego nie zauważył.

— Trzeba było zatem zwrócić go właścicielowi.

— Chciałem to zrobić, ale Harry mi umknął. Zobaczyłem go dopiero nazajutrz w gromadce rodziny, która

ocalała, dzięki temu, że dom jej znajdował się na najwyższym punkcie doliny.

— I powiedziałeś mu wtedy o pierścionku?

— Nie. Nikt nie chciał mówić ze mną. Strzelano do mnie. Poszedłem więc swoją drogą.

— Posądzano cię o tchórzostwo. A Harry brzydzi się niem. Co się stało z Forsterem?

— Słyszałem, że ocalała tylko ta jedna rodzina.

— To straszne.

— Czy znałeś pan Forstera?

— Tak, byłem u niego parę razy w New-Venango. Dumny pyszałek.

— I spotkaliście się tam z Harrym?

— Z Harrym spotykałem się u Forstera, a także w Omaha, gdzie ma brata. A może jeszcze gdzieś indziej.

— Możecie mi o nim coś opowiedzieć?

— Być może. Ale nie teraz, nie teraz. Jestem tak poruszony twem opowiadaniem... Kiedyś, później. Czy Harry nie mówił ci, poco przyjechał do Venango.

— Tak, mówił mi, że jest to jego chwilowa kwatera.

— Tak, tak. A więc jesteś pewny, że Harry wyszedł cało z niebezpieczeństwa.

— Zupełnie pewny.

— I strzelał za tobą?

— Jak mówiłem.

— Oto masz twój pierścionek. A teraz przyślę ci Apasza, zluzuję go z warty. A teraz kładź się i śpij. Mamy dwa dni drogi przed sobą.

Położyłem się, ale nie mogłem zasnąć. Opowiadanie moje, w którem odświeżyłem straszne przeżycia, tajemnicze

zachowanie się starego strzelca, wytrąciło mnie z równowagi. Nareszcie myśli moje poczęły przesłaniać się mgłą, zamieniać się w chaos niewyraźny, usnąłem.

Kiedy zbudziłem się rano, byłem sam przy dopalającem się ognisku. Ponad ogniem kołysał się kociołek pełen wody, obok kawałka mięsa zaś leżał woreczek z mąką. Śniadanie więc w toku.

Wydobyłem się z mej dery i poszedłem do rzeki umyć się. Spotkałem tam moich towarzyszy, którzy zapowiedzieli mi, iż niebawem wyruszymy w drogę.

Jakoż zaraz po śniadaniu poczęliśmy naszą podróż, kierując się równoległą linją do Missuri, o jakie dwadzieścia mil oddaloną od rzeki.

Dzień był chłodny, konie nasze wypoczęte, posuwaliśmy się więc raźno naprzód.

Około południa zatrzymaliśmy się dla wypoczynku.

Podczas gdy „Ognista ręka" oddalił się, aby zrekognoskować miejsce postoju, ja począłem dobywać prowianty.

Winneton przysiadł koło mnie na ziemi i począł uroczyście:

— Mój brat śmiały jest jak jaguar, a milczący jak skała. Przejechał przez morze ognia, a nic o tem nie mówił bratu swemu, Winnetonowi.

— Język mężczyzny jest jako nóż — odpowiedziałem. Ostry on i nie nadaje się do próżnej gawędki.

— Mój brat mądry jest i roztropny. Winneton jednak martwi się, gdy serce jego młodego przyjaciela zamyka się w sobie.

— Czy serce Winnetona otwarło się dla uszu jego przyjaciela?

— Czyż Winneton nie wyjawił mu wszystkich tajemnic prerji? Czyż nie nauczył go rozpoznawać tropy, zarzucać lasso i oddzielać skalpy?

— Tak jest. I mówił także o „Ręce ognistej“ i o miłości jego do kobiety.

— Winneton kochał ją także. Ale dlaczego mój brat nie opowiadał nic o chłopcu, którego wyratował z płomieni.

— Bo to byłoby pochwałą samego siebie. Czy Winneton zna tego chłopca?

— Nosiłem go na rękach. Pokazywałem mu kwiaty pól i kwiaty lasów, ryby w wodzie i gwiazdy na niebie. Uczyłem go strzałę wypuszczać z łuku i dosiadać dzikiego rumaka. Nauczyłem go języka czerwonoskórych i darowałem mu strzelbę, której kula zabiła Ribannę, córę Assynebojnów.

Patrzyłem zdumiony w twarz Apasza, nieruchomą, jak maska spiżowa. W duszy mej wstawało przeczucie niejasne, któremu nie śmiałem słów nadać. A jednak cisnęły mi się one na usta mimowoli. Nadchodzący jednak stary strzelec powstrzymał je, nie mogłem bowiem przed nim wyjawić mej myśli.

— — — — — — — — — — — — —

Po kilku godzinach spoczynku, ruszyliśmy znowu w drogę.

Nasze konie pomykały żwawym truchtem, zrobiliśmy więc spory kawał drogi, zbliżając się już do łańcucha wzgórz, poza któremi leży dolina Mankizili.

— Stój! — zabrzmiał naraz głos jakiś, dobywający się z krzewów bawełnianych, równocześnie w pośród gałęzi błysnęła lufa strzelby, wymierzonej ku nam. — Hasło?

— Dzielny!

— I?

— Milczący! — dorzucił „Ognista ręka".

Na to rozdzieliły się krzewy i wyszedł z nich człowiek, którego wieku niepodobna byłoby oznaczyć. Z pod zmiętej kresy kapelusza wyzierały małe przenikliwe oczy, pod osłoną rozczochranej czupryny. Na chudej, ruchliwej twarzy królował nos iście bajeczny co do kształtu i rozmiarów. Drobna figurka owego człeka tonęła w starej, skórzanej kurcie myśliwskiej, zupełnie nie przypasowana do znikomej postaci. Chude, sierpowato wygięte nogi tkwiły w olbrzymich indyjskich butach, w których od biedy mógłby się schować cały ich właściciel.

Istna karykatura myśliwego prerji.

— Samie Hawkens! — zawołał „Ognista ręka" — czy oczka twe zaniemogły, że hasła odemnie żądasz?

— Nie myśl tego, panie — odpowiedział. Należy mi jednak spełnić mój obowiązek. Pozdrowiony bądź w Bajonie. Szaleję z radości, że widzę cię znowu panie i Winnetona, i mego ucznia, zwanego „siarczystą ręką".

Podał mi obie ręce, przyciskając z całej siły do swej zatłuszczonej kurty.

— Ja także cieszę się serdecznie, że cię spotykam kochany Samie — odwdzięczyłem mu się.

— Otóż udała mi się niespodzianka — uśmiechnął się „Ognista ręka". Zobaczycie tu jeszcze dwóch dobrych

znajomych: Dicka Stona i Willa Parkera. Którzy z naszych ludzi są dzisiaj w domu, Samie?

— Wszyscy, oprócz Billa Bulcher, Stona i Harrisa. Mały nasz pan przybył także.

— Wiem to, wiem. Jakże wam się tu wiodło? Zaglądali do was czerwonoskórzy?

— Niebardzo, niebardzo, to też moja „Liddy“ — (wskazał na swą strzelbę), — tęskniła i nudziła się.

Obrócił się na pięcie i, wsunął się znowu do swej kryjówki. My zaś pojechaliśmy dalej.

Na lewo otwierała się przed nami wąska rozpadlina, obstawiona skałami. Pomiędzy niemi pomykał wartki strumień, wlewając się do rzéki, wzdłuż której jechaliśmy kurytarzem skalistym. Kamienne ściany zbliżały się coraz ku sobie i zdawało się, że lada chwila zamkną się zupełnie. „Ognista ręka“ jednak jechał dalej za nim Winneton, podążałem więc za nimi po przez rozmaite zgięcia i załomy zupełnie ciemnego tunelu. Nakoniec zaczynało się rozświetlać, wjechaliśmy do podobnej rozpadliny, jaką już przebyliśmy na początku. Gdy się ona rozszerzać poczęła, oczom naszym przedstawił się piękny widok. Rozległa kotlina obstawiona dokoła skałami. obramowana krzewami, wysłana gęstą trawą, którą raczyły się konie i muły. Wśród nich uwijały się psy, podobne do wilków i małe psie bastardy, stanowiące ulubiony przysmak czerwonoskórych.

— Oto macie moją twierdzę — zwrócił się ku nam stary skwater. Mieszka się tu bezpiecznie, jak na łonie Abrahama.

— Czy niema żadnego przejścia wśród tych skał? — pytałem.

— Niema nawet takiego, którymby się mógł wśliznąć wilczek stepowy.

— Jakże odkryliście to wspaniałe miejsce?

— Goniłem w ślad za praczem — szopą, aż do tej rozpadliny, zakrytej bluszczem. I naturalnie wziąłem w posiadanie tę kotlinę.

— Jakto, sam?

— Tak. Setki razy w kryjówce tej znalazłem obronę przed ścigającymi mnie lotrami indyjskimi. Później, przywiodłem tu moją kompanię.

W tej chwili usłyszeliśmy ostry gwizd a w ślad za tem poczęły wyłaniać się przeróżne postaci z zarośli, okalających kotlinę.

Pokłusowaliśmy w jej środek, gdzie nas otoczono i witano hałaśliwie.

Winneton tymczasem, rozsiodłał swego konia, wziął cały rynsztunek na plecy i odszedł, nie troszcząc się więcej ani o swego wierzchowca ani o towarzystwo.

Poszedłem za jego przykładem i oswobodziłem mego Swallowa. Potem udałem się na zwiedzenie doliny. Szedłem jej brzegiem pomiędzy zaroślami a stromo opadającemi ścianami skalnemi. Zauważyłem w nich liczne otwory, zasłonięte skórami zwierząt. Były to zapewne wejścia do mieszkań myśliwych, tworzących dość liczną kołonję.

Na jednej ze skał zobaczyłem chatkę, zbudowaną z gałęzi. Zapragnąłem się tam dostać, a chociaż nie było wiodącej w górę ścieżki, to przecież były ślady wydeptane, po których piąłem się w górę. Z niskich drzwi chatki wysunęła się postać, odziana w koszulę myśliwską, w spodnie, obszyte na szwach frendzlami, małe mokasyny wyszyte

były paciorkami i obwiedzione sierścią jeżotki. Głowę pokrywała czerwona chustka, zawiązana jak turban, podobnej barwy szarfa obciskała stan wysmukły.

Na szelest moich kroków, postać owa odwróciła głowę. To był Harry!

— Czyż to możliwe! Tyżeś to? — zawołałem zdziwiony radośnie.

— Gdyby to nie było możliwe, tobyś mnie pan tutaj nie spotkał — odpowiedział zimno.

— Kto jednak pozwolił panu wejść do naszego obozu?

Odpowiedziałem mu wzruszeniem ramion i obracając się do niego plecami, począłem schodzić na dół.

Niedługo znalazłem się w obozie.

Wieczór zapadał. Na środku doliny gorzał ogień, dokoła którego zgromadzili się mieszkańcy twierdzy. Harry także znalazł się pomiędzy nimi.

Towarzystwo zabawiało się opowiadaniem przygód, przysłuchiwałem się z zajęciem, potem wstałem, aby obejrzeć się za moim koniem.

W ciemności rozległo się radosne rżenie. Swallow poznał mnie, przybiegł i ocierał swój łeb o moje ramię. Objąłem go za szyję myśląc: oto mój najwierniejszy przyjaciel.

W tej chwili parsknął Swallow, obejrzałem się dokoła, wiedząc, że był to jego znak ostrzegający. O parę kroków przedemną ktoś się zatrzymał.

— Przebaczcie, jeżeli was nachodzę — zabrzmiał głos Harry'ego, inny jakiś, łagodniejszy. — Chciałem powitać dzielnego Swallowa, co tak wytrwale niósł nas przez płomienie.

— Oto jest tutaj, nie będę przeszkadzał panu. Dobranoc!

Odwróciłem się, kierując się w przeciwną stronę.

— Panie! — usłyszałem półgłośne wołanie.

Zatrzymałem się. Harry zrównał się ze mną.

— Obraziłem was! — przemówił chłopak.

— Myli się pan — odparłem spokojnie. Jestem z całem wyrozumieniem dla pańskiej krewkiej młodości.

— Przebaczcie mi moją pomyłkę — począł znowu Harry. Ocaliliście życie mojego ojca dwukrotnie z narażeniem własnego. Dziękuję wam.

— Każdy na mojem miejscu uczyniłby to samo. Proszę nie mierzyć moich czynów miłością synowską.

— Czy mogę was prosić o coś?

— Cóż takiego.

— Nie wspominajcie więcej o swej „wyrozumiałości". Gniewajcie się raczej! Czy dobrze?

— Dobrze.

— Dziękuję. Teraz wracajmy razem do ogniska. Wskażę wam wasze miejsce. Jutro rano wcześnie będzie pobudka.

— Dlaczego?

— Zastawiłem łapkę na zwierzęta, pójdziemy razem zobaczyć, czy się powiodło.

W parę minut później zatrzymaliśmy się przed jedną z takich zasłon ze skór zwierzęcych. Harry odrzucił ją, znaleźliśmy się w kryjówce. rozświeconej świeczką z łoju jeleniego.

— Oto sypialnia wasza Panie. Pod gołem niebem

nocując można nabawić się reumatyzmu. W dolinie bowiem jest wilgoć. Spijcie dobrze.

Podał mi rękę, uśmiechając się przyjaźnie. Zostałem sam. Obejrzałem dokoła moją jaskinię, wykutą sztucznie w skale. Na ziemi leżały skóry, ściany były także niemi zawieszone.

W głębi stało łóżko, sporządzone z kijów drzewa czereśniowego, zasłane derami.

Zapadłem w sen głęboki z którego zbudziło mnie głośne wołanie.

Wyskoczyłem coprędzej i natknąłem się na Sama w pełnym rynsztunku trapera.

— Zaraz jestem gotów, kochany Samie — rzuciłem.

— Mały pan czeka już na was.

Przed zasłoną zauważyłem mojego młodego przyjaciela.

Winneton nadchodził również z jednym z myśliwych.

Apasz pozdrowił swego wychowanka słowami:

— Syn Ribanny jest silny jak wojownik z nad brzegów Gili. Oko jego dojrzy mnóstwo bobrów, ręka jego nie zdoła udźwignąć zdobyczy. Mój biały brat może iść spokojnie — zwrócił się potem do mnie, Winneton będzie miał staranie o jego konia. Apasz kocha go także.

Po wyjściu z rozpadliny, poszliśmy na lewo krocząc z biegiem strumienia, aż do miejsca, gdzie on wlewał się do Mankizili.

Gęste zarośla stanowiły zasłoną rzeki, a gałązki dzikiego wina przerzucając się z krzewu na krzew, z drzewa na drzewo tworzyły zaporę tak gęstą, że trzeba było torować sobie drogę nożem.

Mały Sam posuwał się przodem, teraz pochylił się i począł pełzać po przez gęstwinę.

— Chodźcie panie — mówił Harry. — Tutaj poczyna się ścieżka bobrów.

Usłyszeliśmy sygnał gwiżdżący zwierzątka na straży.

— Jesteśmy blisko siedziby — szepnął Harry.

Wśród głębokiego milczenia przesuwaliśmy się dalej, dostaliśmy się wkrótce do załomu rzeki, skąd mogliśmy obserwować kolonię bobrów.

Tama, sięgająca daleko w wodę, czerniała na połyskliwej powierzchni rzeki. Stadko bobrów zajęte było pilnie umocnieniem budowy, krzątając się żywo dokoła niej. Przypatrywałem się z zajęciem pilnym zwierzętom. Zajął mnie szczególnie bobr czuwający na grobli, strzygł on krótkiemi uszami, wydając od czasu do czasu ów gwizd. Naraz dał susa i znikł pod wodą. W jednej chwili inne zwierzęta poszły za jego przykładem.

Przyczyną tego popłochu byli zbliżający się dwaj Indjanie. Jeden z nich miał zawieszone łapki na ramieniu, drugi niósł skóry bobrów, obaj byli w pełnem uzbrojeniu.

— Do licha! — zasyczał Sam. — Zdaje się, że łotrzyki natknęli się na nasze łapki, zbierając, gdzie nie zasiali. Czekajcie, hultaje! Zaraz przemówi do was moja Liddy.

Zmierzył się do strzału.

Pochwyciłem go za ramię.

— Nie strzelać — szepnąłem. — Weź nóż. Z pewnością mają ukrytych tu swych towarzyszy.

— To prawda. Lepiej zgładzić ich po cichu — odparł. — Mój stary nóż jednak jest tak tępy, że nie da rady dwom hultajom.

— Biorę jednego na siebie.

Pełzaliśmy naprzód z nożem w zębach.

Wtem szepnął mi Harry do ucha:

— Pozwól mi się wyręczyć.

— Dziękuję. Dam sobie sam radę.

Znalazłem się teraz po za gęstwiną, rzuciłem się naprzód, pochwyciłem Indjanina, odwróconego do mnie tyłem, lewą ręką za kark, prawą zaś, wymierzyłem mu cios pomiędzy łopatki.

Upadł na ziemią bez jęku.

Sam tymczasem uporał się ze swoim czerwonoskórym, począł go nawet już skalpować.

— Dziwię się bardzo — zauważyłem — że wdajesz się w to barbarzyństwo.

— Ba! — żachnął się. — Ma to swoje powody. Poznałem ja z blizka ich czerwone łapki. Patrzcie oto!

Zdjął zmięty swój kapelusz, zsuwając razem z nim długowłosą swą skórę.

Czerwieniła się pod nią łysa krwawo-purpurowa czaszka.

Nie było jednak czasu na uwagi. Sam wcisnął znowu kapelusz i perukę na czoło. Trzeba było mieć się na baczności. Za każdem bowiem drzewem mógł czatować ukryty czerwonoskóry i lada chwila mogła nam świsnąć koło ucha strzała lub kula.

— Trzeba, abyście poszli z małym panem do „fortecy“ i ostrzegli naszych ludzi — zauważył Sam.

— Czy nie lepiejby było, abyś ty tam poszedł Samuelu?

— Jeżeli mały pan tak każe, to muszę to zrobić.

— Dobrze, oto masz twój skalp, może zarobię sobie sam na moje trofea.

Z temi słowami Harry zagłębił się w gęstwinę. Poszedłem za nim.

Patrzyłem z zadowoleniem na sprawne ruchy chłopca, jak przedzierał się przez gąszcze z zręcznością niesłychaną. Musiał już od dzieciństwu zaprawiać się do trudów myśliwstwa na prerjach.

— Tutaj zastawiliśmy łapki, które odebraliśmy czerwonoskórym — mówił Harry, — tam dalej zaś dzieli się Bec-fork. Lecz popatrz panie, ślady Indjan zwracają się do lasu z którego wyszli. Musimy pójść za niemi.

Gotował się do dalszej drogi, kiedy go zatrzymałem mówiąc:

— Czy nie zechcesz zawrócić i mnie samemu powierzyć dalszą robotę?

— Jak pan może powiedzieć coś podobnego?

— Czy znasz niebezpieczeństwa, na które się narażamy?

— Dlaczegożby nie? Przeżywałem już rozmaite rzeczy.

A więc znowu w drogę. Oddalaliśmy się teraz od rzeki i szliśmy lasem, tworzącym cieniste korytarze, wyścielone mchem. Aby na tem miękkiem podłożu rozpoznać tropy, trzeba było bystrości nie lada.

Harry zatrzymał się wskazując ślady nie dwóch lecz czterech ludzi, którzy szli razem aż do tego punktu.

— Co robić? — pytał chłopak. — Ślady te dążą w kierunku naszego obozu. Nie możemy pozwolić, aby go wykryli.

— Przedewszystkiem musimy się upewnić jaki cel

miała ta wycieczka. Wejście do naszej „twierdzy“ jest dobrze zresztą strzeżone.

— To prawda. Chodźmy więc dalej!

Las zbiegał z wyżyny w równię, a był przecięty skalistym wąwozem, pełnym paproci i przeróżnego ziela. Właśnie zbliżaliśmy się do niego, kiedy poczułem zapach dymu, a oglądając się bacznie dokoła, spostrzegłem mały słupek dymu wznoszący się ku szczytom drzew.

Dym ten pochodził niechybnie z ogniska Indjan.

Zatrzymałem Harry'ego i udzieliłem mu moich spostrzeżeń.

— Zostań tu za tymi zaroślami, pójdę przyjrzeć się temu bliżej.

— Dlaczegóż mam zostać?

— Jeden wystarczy, dwóch zresztą łatwiej zobaczyć mogą.

Posuwałem się ostrożnie po za osłoną pni drzew i oto co zobaczyłem.

W zagłębieniu wąwozu siedziało i leżało mnóstwo czerwonoskórych, u jego wylotu stał na straży młody Indjanin, nieporuszony jak statua z bronzu. Tu i ówdzie zauważyłem także inne warty.

Próbowałem policzyć obozujących, lecz naraz niezmierne zdumienie przerwało mi tę czynność. Tam przy ogniu siedział biały wódz Parranoh czyli Tim Finnetey, jak go nazwał „Ognista ręka“. Czyż to nie było złudzenie zmysłów? Lecz nie! To on, ten sam człowiek, którego rysy twarzy, oświecone światłem księżyca, zbyt głęboko utkwiły mi w pamięci.

Zawróciłem czemprędzej i zrównawszy się z Harrym, dałem mu znak, aby szedł za mną.

Doszliśmy znowu do miejsca gdzie zauważyliśmy ślady. Teraz odkryliśmy nowe, wiodące przez plątaninę gąszczu w dolinę, którą przebywaliśmy wczoraj.

Było więc pewnem, że Ponkasowie ścigali nas. Nasz wypoczynek podczas choroby „Ognistej ręki" posłużył im do zebrania nowych sił.

Indjanie, którzy byli się pierwej tędy przekradali, utorowali nam drogę, tak, że stosunkowo posuwaliśmy się prędko naprzód, i znajdowaliśmy się już niedaleko doliny. Wtem naraz usłyszeliśmy lekki szczęk, który zadźwięczał z poza gęstwiny dzikich czereśni.

Harry dał mi znak, abym się ukrył. Położyłem się natychmiast na ziemi, dobyłem noża i patrzałem okrężnymi zwrotami.

W podróży mej zobaczyłem najprzód, stos żelaznych łapek na bobry, obok nich parę krzywych nóżek, w olbrzymich mokasinach.

To był naturalnie Sam. Skądże się jednak tu znalazł skoro powinien był już dawno znajdować się w naszej „fortecy". Mogłem się go po prostu spytać, co też postanowiłem zrobić. Pomału, po cichu podsunąłem się do jego przedpotopowej strzelby, pochwyciłem ją i odwiodłem kurek.

— Samie Hawkens — szepnąłem — to tylko ja!

— Napędziłeś mi pan strachu — odszepnął traper.

— Bodaj pana licho, poczułem niby iskry elektryczne pod skórą... A gdzie mały pan?

— Jest tam z tyłu. Usłyszeliśmy brzęk łapek, musiałem więc zobaczyć, co to za dzwonki dzwonią.

— Dzwonki? Było aż tak głośno! A to głupiec ze mnie. Jakże dostaliście się tutaj? Za śladami czerwonoskórych, hę?

Potwierdziłem ten domysł i opowiedziałem mu o obozie Indjan.

— Będzie to dużo prochu kosztowało — zauważył Sam. — Nieprawdaż panie?

Powróciłem do mego towarzysza. Zajęliśmy stanowisko naprzeciw Sama, czekając ukazania się Indjan. Upłynęło parę godzin nim usłyszeliśmy ciche stąpanie skradającego się człowieka. Był to stary, sterany dziki, obwieszony skalpami.

Zaledwie zbliżył się do nas, zmietliśmy go z powierzchni, tak samo postąpiliśmy z drugim, który pojawił się niebawem. Były to niezawodnie wysłane na zwiady forpoczty.

Potem złączyliśmy się ze Samem, i powróciliśmy do obozu.

Opowiedziałem przygody nasze „Ognistej ręce". Kiedy wspomniałem o białym wodzu Parranoh, którego widziałem na żywe oczy, stary traper wykrzyknął z radosnego ździwienia.

— Obyście się nie mylili panie! Mogę więc dostać go w swe ręce, czego pragnąłem latami! Czy możesz poprowadzić mnie panie zaraz do obozu dzikich? Chciałbym zobaczyć tego człowieka.

— Rozumiem to. Należy mi jednak zwrócić uwagę, że to będzie niebezpieczne przedsięwzięcie. Indjanie czekając daremnie swych wysłanych szpiegów, obejrzą się za nimi i poczną ich szukać. Wpadniemy im może w ręce.

— Być to wszystko może. Nie mogę jednak usiedzieć spokojnie. Dick Stone, chwytaj karabin, pójdziesz z nami.

— Z całą ochotą!

— Pozwól mi ojcze pójść z tobą — prosił Harry.

„Ognista ręka“ odmówił mu z całą stanowczością.

Poszliśmy więc we trzech, przeprawiając się przez łożysko strumienia na drugą stronę.

Szliśmy ku miejscu, w którem był się ukrył Hawkens. Z obu stron byliśmy zasłonięci gęstwiną, zupełnie ponadto pewni, że spotkamy owego Indjanina, który opuściłby swą kryjówkę.

Winneton wkrótce po nas wyszedł z obozu, dotychczas nie powrócił jeszcze. Byłby dla nas teraz bardzo pożądanym przewodnikiem. A zresztą troszczyłem się o niego, łatwo był mógł bowiem wpaść w ręce nieprzyjaciela.

Właśnie myślałem o tem, kiedy naraz rozchyliły się gąszcza i Apasz pojawił się przed nami.

— Winneton pójdzie z białymi braćmi — oznajmił on — aby zobaczyć Ponkasów.

— Czy mój czerwony brat widział już naszych wrogów? — spytałem.

— Tak jest. Winneton czuwa.

Chciałem coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili spostrzegłem dwoje oczu, błyszczących z poza krzaka. Bez namysłu poskoczyłem z nożem w ręku na czatującego Indjanina.

Był to Parranoh, który zwalił się na ziemię, a równocześnie gromada czerwonoskórych wyrosła jak z pod ziemi.

Moi zaś przyjaciele nie pozostali w tyle. Ja zaś zwar-

łem się z białym wodzem dzikich. Tłoczyłem go kolanami, wił się podemną jak wąż, pieniąc się z wściekłości, oczy nabiegłe krwią wystąpiły mu z orbit i błyszczały w twarzy sinej od wytężenia.

Zdawało mi się, że walczę z oszalałym zwierzem. Z całej siły dusiłem go za krtań, ciało Parranoh drżało konwulsyjnie coraz słabiej, aż rozciągnęło się bez ruchu.

Podniosłem się, rozejrzałem się dokoła. Znajdowałem się wśród walczących. Przyjaciele moi z obawy, aby strzałami nie zwabić Indjan, dobyli nożów, czerwonoskórzy tomahawków. Bój był zażarty, cichy i krwawy.

Winneton, „Ognista ręka“, Dick Stone, ścierali się z nieprzyjacielem dzielnie. Dźwigali się z ziemi, zostawiając za sobą bezwładne ciała.

„Ognista ręka“ zauważył zwłoki Parranoh.

— Tim Finn — zawołał — czy możliwe? Kto go powalił?

— Mój biały brat — oznajmił Winneton uroczyście. Wielki Duch obdarzył go siłą bawoła, co rogami swymi kraje ziemię.

— To dobrze — dorzucił „Ognista ręka“, ocierając ręce z krwi. Należy nam teraz zatrzeć ślady bitwy. Dick pójdziesz przodem, aby nas nie zaskoczyła jaka niespodzianka.

— To się stanie, panie. Wyjmijcie mi jednak wpierw nóż z rany. Nie mogę sam dać sobie rady.

Zauważyliśmy dopiero teraz tkwiący nóż w boku. Na szczęście dobyliśmy go lekko i opatrzyli ranę.

— Jakże poniesiemy naszego jeńca? — spytał „Ognista ręka“.

— Nie będzie w tem trudności — dorzuciłem.

— Chybaby odzyskał naraz przytomność.

Złożyliśmy rodzaj sanek z pni drzewek, przywiązaliśmy do nich rannego Parranoh i w drogę.

Kroczący za nami Winneton zacierał ślady pochodu.

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz, wstałem o świcie i począłem wspinać się na skały.

Na dole przewalały się tumany mgły, na wyżynie jednak powietrze było czyste, przejrzyste i wonne. Z gęstwy odzywały się świergoty ptasie. Koncert ten poranny nie przerwał mi jednak rozmyślań o przeżyciach dnia ubiegłego.

Według raportu jednego z naszych strzelców, który, przesuwając się cicho przez las, wynikło, że Ponkasowie zebrali się w większej liczbie, aniżeliśmy przypuszczali. Natknął się bowiem na drugie obozowisko dzikich, zaopatrzone także i w konie.

Było więc jasnem, że przedsięwzięto wyprawę wojenną na naszą osadę. Znaleźliśmy się więc w położeniu wcale niemiłem.

Przygotowania do akcji odpornej z naszej strony zajęły nam wczorajsze popołudnie i wieczór, tak, że nie postanowiliśmy jeszcze nic o losie naszego jeńca. Leżał skrępowany należycie w jednej ze skalnych komor, odwiedziłem go zaraz po swem przebudzeniu, aby opatrzeć więzy. Znalazłem wszystko w porządku.

Zajęty temi rozważaniami, zamyśliłem się głęboko, gdy w tem zbliżające się czyjeś kroki zbudziły mnie z zadumy.

Był to Harry.

— Dzień dobry! — zawołał. Ranny ptaszek z pana!

— Czujność jest najpotrzebniejszą cnotą w tym kraju niespodzianek — odparłem.

— Czy niepokoją pana dzicy?

— Trochę. Przeważają nas dziesięćkrotnie. Nie możemy podjąć otwartej walki, musimy się starać, aby nas nie odkryli.

— Ba! Niechby tam. Spadnie wówczas niejedna czerwonoskóra głowa i tyle.

— Tak się to zdaje. Muszą być djabelnie wzburzeni utratą wodza i naszym wczorajszym wypadem. Tego nam nie darują.

— Zapewne, cóż to jednak znaczy? Znam ja dobrze czerwonoskórych. Tchórze to wierutni, co napadają chętnie bezbronnych, a przed kulami zmykają. Mamy nad nimi przewagę. Mówcie zresztą co chcecie, są uczucia władające zdolnym do czynu ramieniem. Gdybyśmy byli dotarli wczoraj do Bee-fork, byłbyś zobaczył mogiłę, kryjącą najdroższe mi istoty na szerokim świecie... Mordercami ich Indjanie!... Dlatego poprzysiągłem im zemstę, a kula z mego pistoletu powaliła niejednego wojownicy, chlubiącego się skalpami.

Dobył z za pasa pistolet i błyskając mi przed oczyma mówił:

— Jesteś pan dobrym strzelcem, z tej starej pukawki jednak nie trafiłbyś o piętnaście kroków. Możesz zatem wyobrazić sobie, jak wiele musiałem się ćwiczyć, aby z takiej broni mieć pożytek. Przysiągłem jednak zrobić ją narzędziem zemsty.

— Dostałeś ten pistolet od Winnetona.

— Tak jest. Posłuchaj jednak dalej. Siadajmy.

— Mój ojciec był leśniczym — począł Harry, układając się na trawie — tam, w starym świecie. Żył szczęśliwie z żoną swą i z dzieckiem, dopóki nie uniósł go wir politycznych zamętów. Musiał ratować się ucieczką. W podróży stracił matkę swego dziecięcia i znalazł się po wylądowaniu samotny i bez środków w nieznanym kraju. Chwycił się więc pierwszej lepszej myśli, jaka się nadarzyła, pociągnął na zachód jako myśliwy, a dziecko zostawił u pewnej zamożnej rodziny. Parę lat spędził wśród przygód i niebezpieczeństw. Nad Missisipi spotkał się z Winnetonem, w gościnie u wodza Assineboinów: Taszatunga. W jego wigwamie poznali jego córkę, Ribannę. Piękna była jak jutrzenka, kraśna jak róża. Smukłą jej postać okrywał królewski płaszcz włosów. Wielki Duch Manitu obdarzył ją wdziękami i cnotą, a młodzi wojownicy składali u jej stóp skalpy zdobyte na znak uwielbienia. Ribanna kochała jednak myśliwego, który przybył z krain dalekich... W jego sercu zagościła także miłość gorąca dla pięknej córy Taszatunga.

Pewnego wieczora zbliżył się Winneton do swego białego przyjaciela i począł:

— Mój brat kocha Ribannę, ozdobę wigwamu, wdzięczny kwiat dolin?

— Tak jest — odparł strzelec stepów. — Kocham ją więcej aniżeli trzody prerji, więcej aniżeli skalpy czerwonych mężów.

— I będzie dla niej dobrym i będzie ją strzegł przed burzami i przed złych ludzi czynem?

— Będę ją na rękach nosił, trwał przy niej w dobrej i w złej doli.

— Winneton rozumie język gwiazd na niebie. Gwiazda jego życia zachodzi jednak, w sercu jego stanie się wieczna noc. Pragnął on wprowadzić Ribannę do swego wigmamu. Ona jednak zwróciła oczy swe na bladą twarz mego brata. Apasz zejdzie z drogi, wiodącej do szczęścia. Nie pokocha on innej kobiety, zostanie samotny na zawsze. Przyjdzie kiedyś, aby przekonać się, czy szczęśliwą jest Ribanna, córka Taszatunga.

— — — — — — — — — — — — — —

Powrócił na wiosnę.

Promieniejące szczęściem oczy Ribanny, wymowniejsze były od słów.

Winneton wziął z rąk młodej matki, malutkie dziecko, a kładąc dłoń na jego głowie, mówił:

— Winneton będzie dla ciebie jako drzewo dla ptasząt, na którem się gnieżdżą i szukają ochrony przed burzą i ulewą. Życie jego jest twą własnością, do ostatniego tchnienia będzie ci wiernym. Obyś był światłem dni białego mego brata, ozdobą życia Ribanny, róży dolin.

I znowu minęły lata...

Malutki syn Ribanny wzrastał i rodzice jego szczęśliwi byli. A przecież w sercu ojca odzywała się już tęsknota za pozostawionem w dalekim kraju dzieckiem. Nie mógł się jej opierać dłużej. Pociągnął do niego na wschód, zabrał mnie ze sobą. Tam, u boku mego brata poznałem nowy świat, nowe życie. Przylgnąłem doń. Ojciec powrócił sam, zostawiając mnie u przybranych rodziców mego brata.

Niedługo jednak i mnie poczęła trawić tęsknota za stepami, za swobodą.

Kiedy mój ojciec odwiedził nas znowu, powróciłem z nim do ojczyzny.

Zastaliśmy jednak ruinę i zgliszcza, zamiast domowego ogniska.

— — — — — — — — — — — — — —

Tim Finnetey, myśliwy stepów, odwiedzał często obóz Assineboinów, poznał Ribannę i zapragnął ją poślubić. Taszatunga gardził nim jednak i zbył go lekceważąco, Finnetey odszedł poprzysięgając zemstę.

Z ojcem moim spotkał się w Black Hills i dowiedział się, że Ribanna jest jego żoną. Wtedy to udał się do plemienia Czarnostopych, aby ich namówić do napadu na obóz Assineboinów.

Posłuchali go. Kiedy wojownicy wyruszyli na łowy, gromada Czarnostopych wtargnęła do osady bezbronnej, niszcząc, paląc i rabując. Starcy i dzieci padły pod razami ich tomahawków, młode kobiety uprowadzili ze sobą.

Assineboinów wojownicy zastali popioły i zniszczenie!...

Ruszyli natychmiast w tropy napastników, z nadzieją, że ich dopędzą.

Stało się to wszystko na parę dni przed naszem przybyciem.

Po drodze spotkaliśmy się z Winnetonem. Mój ojciec opowiedział mu o naszem nieszczęściu. Przyłączył się do nas i tak jechaliśmy w milczeniu za śladami poprzedzających nas Assineboinów.

Zeszliśmy się z nimi w Beefork. Donieśli nam, że Czarnostopych obóz tam, w dolinie rzeki. Czekaliśmy tylko zmroku aby nań napaść. Nadeszła wreszcie straszna noc, w której zmagaliśmy się z kilkakrotnie silniejszym od nas wrogiem. O świcie radosne wycie Czarnostopych oznajmiło mi, że jesteśmy pokonani.

Ukryłem się w gąszczach, a kiedy wszystko ucichło, wypełzłem z mej kryjówki.

Księżyc świecił jasno. Widziałem dokładnie pobojowisko zasłane trupami. Błądziłem wśród nich ze wzrokiem utkwionem w bezwładne postaci. Wtem, czułem, że drętwieję cały. Oto leżała tam, wśród nich moja matka! Żebym żył wieki całe, nie zapomnę.

Leżała tam moja matka!... W ramionach skrzyżowanych rozpacznie ściskała małą mą siostrzyczkę, jasna jej główka rozpłatana nożem, zwisała jak podcięty kwiatek!...

Pociemniało mi w oczach, osunąłem się zemdlony na ziemię.

— — — — — — — — — — — — — —

Jak długo tak leżałem, nie wiem. Stał się dzień i noc i znowu dzień... Naraz jakieś kroki... uniosłem się... O radości! Ojciec mój i Winneton!

W poszarpanych sukniach, ranni, ale żywi, ale blisko mnie! Pojmani w niewolę, zdołali ujść na szczęście.

Harry zaczerpnął oddechu i zapatrzył się w dal, a potem zwracając się ku mnie zapytał:

— Pan ma jeszcze matkę?

— Tak.

— Cobyś uczynił, gdyby ją ktoś zamordował?

— Zastawiłbym karę prawu.

— Dobrze, lecz jeżeli ono jest za słabe, jak tutaj, w naszym kraju, to należy samemu sobie wymierzyć sprawiedliwość.

— Trzeba jednak rozróżnić karę, która jest konsekwentnem następstwem winy, od zemsty, namiętności, równającej nas często ze zwierzęciem.

— Mówi pan bardzo rozsądnie, jak człowiek, któremu nie płynie gorąca indyjska krew w żyłach. Kiedy grzebaliśmy drogie nasze ciała, aby uchronić je przed żarłocznością sępów, poprzysięgliśmy zemstę.

— Czy Finnetey był mordercą?

— Tak jest. Winneton był świadkiem, rzucił się na okrutnika, walczył z nim, lecz niestety, nadbiegli inni, którzy powalili naszego przyjaciela wiernego, związali i uprowadzili. Na drwiny zostawiono mu pistolet nienabity, który później dostał się w moje ręce. Mam go zawsze przy sobie, gdziekolwiek się znajduję.

— Muszę ci powiedzieć, że...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwał mi Harry. Kto wie, czy sam sobie tego nie powiedziałem już wiele razy? Lecz, czy nie słyszał pan nigdy podania o niszczących duchach, co przelatują nad ziemią w huraganu wirach i pustoszą wszystko, cokolwiek by chciało oprzeć się ich potędze? Jest w tem myśl głęboka, wyrażająca się w przenośni, iż wola nieposkromiona musi wyszaleć się jako huragan nad równiną. Czuję tę burzę w mojej krwi, czuję że mnie uniesie, że dam się jej porwać, chociażbym miał zginąć.

W tem dał się słyszeć ostry gwizd.

— Ojciec zwołuje swych ludzi — zauważył Harry. Zejdźmy, pora już zająć się uwięzionym.

Pochwyciłem go za rękę.

— Zostaw go innym, proszę cię.

— To niemożliwe. Ileż razy wybiegałem myślą ku takiej chwili, ileż razy drżałem z obawy, że może nie nadejdzie nigdy. A teraz, kiedy już jestem u celu, mamże zrezygnować z tego, co stało się myślą przewodnią mego życia? najgorętszem mem pragnieniem?

— Nie spełnisz zatem mej prośby?

— Nie mogę, choćbym nawet i chciał. Pójdźmy.

Harry szedł przodem, ja zaś postępowałem za nim powoli.

Niedługo stanęliśmy wśród zebrania, radzącego o losie jeńca, a raczej na jaki rodzaj śmierci ma być skazany.

Parranoh przywiązany był do pala. Twarz jego zaorana głębokiemi bruzdami nie zdradzała żadnego wzruszenia. Harry rzucił nań pałającemi oczyma. Blady był, oddychał ciężko.

— Żądam — wymówił po chwili, aby wykonać wyrok w miejscu, gdzie leżą ofiary tego mordercy. Sam los jest moim rzecznikiem, wydając Parranoha nam w ręce tam a nie gdzieindziej.

Po dłuższej naradzie, w której nie brałem udziału, myśliwi poczęli przygotowywać się do drogi.

Życzeniu Harry'ego stało się więc zadość.

Nie mogłem obronić się przeczuciu, że wyniknie stąd dla nas nieszczęście.

„Ognista ręka" zbliżył się do mnie i kładąc mi rękę na ramieniu rzekł:

— Niech się stanie, jak się ma stać. Nie wszystko dzieje się według szablonu waszej tak zwanej kultury.

— Nie wydaję żadnych sądów. Zbrodniarz zasługuje na karę to pewna. Nie pogniewacie się jednak, jeżeli nie będę świadkiem egzekucji. Idziecie do Bee-fork?

— Tak jest. Nie chce pan mieć z tem nic do czynienia, może to i lepiej? Zostaniecie w obozie i będziecie go strzegli.

— Nie moją jednak byłoby to winą, gdyby zaszło coś niepomyślnego. Kiedy powrócicie?

— Nie wiem dokładnie. Bądźcie więc zdrowi i miejcie się na baczności.

Odwiązano Parranoh i zakneblowano mu usta.

— Biały brat zostaje? — pytał Winneton, nim przyłączył się do eskorty skazańca.

— Wódz Apaszów zna myśli moje. Poco nam słów?

— Mój brat jest przezorny, jak stopa zanurzająca się w wodę krokodylów. Ale Winneton pójść musi i być przy synie Ribanny.

Oprócz mnie zostało niewielu tylko strzelców,

Powiedziałem im, że mam zamiar przetrząsnąć zarośla, aby się przekonać, czy nam nic nie zagraża.

— To niepotrzebne, panie, zauważył Dick Stone.

— Jest straż, co ma oczy i uszy otwarte. Myślę, że i tak później będzie robota.

— Pójdę jednakże. Strzeż tymczasem naszej siedziby. Powrócę niebawem.

Pochwyciłem sztuciec i wyszedłem. Począłem rozglągać się bacznie wysunąwszy się z gęstwiny.

Właśnie naprzeciw wejścia do naszej kotliny, zauwa-

żyłem parę uszczkniętych gałęzi, a trawa zgnieciona zdradziła, że tutaj ktoś leżał. Odkryto więc naszą kryjówkę i lada chwila, mogliśmy oczekiwać napadu.

Przypuszczałem, że nieprzyjaciel przedewszystkiem będzie miał na oku eskortę Parranoh, należało więc przestrzedz „Ognistą rękę“, aby się miał na baczności.

Wydałem więc straży odpowiednie wskazówki i udałem się w ślad naszych w górę biegu rzeki. Niedługo znalazłem się na miejscu wczorajszych naszych czynów. Ponkasowie natknęli się na zwłoki swych braci, zgnieciona trawa na znacznej przestrzeni, wskazywała, że byli w licznej gromadzie.

Idąc wciąż dalej za śladem znalazłem się wkrótce nad strumieniem Bee-fork, który w tem miejscu robiąc zakręt, otaczał polankę. W pośrodku niej rosły sosny, pod któremi zobaczyłem naszych ludzi, rozprawiających żywo, jeniec przywiązany był do drzewa.

Naprzeciw mnie, o parę metrów, z zarośli wyzierało kilku Indjan. Było jasnem, że towarzysze ich otoczyli polankę i zamierzali wypaść lada chwilę na naszych zuchów.

Nie było chwili czasu do stracenia. Pochwyciłem sztuciec, zmierzyłem się, wypaliłem. Okrzyk wojenny Indjan był mi odpowiedzią. W ślad za nim posypały się gęsto strzały z zarośli, a polanka stała się widownią krwawych zapasów. Znalazłem się wśród walczących właśnie w chwili, gdy któryś z czerwonoskórych nacierał na Harry'ego. Inni poskoczyli do Parranoh, aby go z więzów uwolnić, co im się też powiodło. Oswobodzony jeniec wydarł tomahawk z ręki pierwszego lepszego Indjanina i krzyknął rzucając się na Winnetona:

— Ty psie, zapłacisz mi drogo!

Apasz zmierzył się z nim, był jednak już ranny, „Ognista ręka“ otoczony dokoła wrogami. my zaś mieliśmy przed sobą gromadę rozwcieczonych dzikich.

Pochwyciłem Harry'ego i wołałem:

— Do wody, czemprędzej, do wody!

Znalazłem się też już w głębokich nurtach Bee-fork. Za mną rzuciło się kilku strzelców.

— Ojciec, mój ojciec — biadał Harry.

— Puśćcie mnie do niego, nie mogę go zostawić.

Ciągnąłem go jednak z całej siły naprzód.

Znaleźliśmy się na drugim brzegu. Poczęliśmy przedzierać się przez gąszcze.

Celem naszym było przedostać się czemprędzej do obozu. Część Indjan tylko wyprawiła się do Bee-fork, można więc było przypuszczać, że inny ich zastęp wyruszy na naszą twierdzę.

Mieliśmy jeszcze kawałek drogi przed sobą, gdy naraz padł strzał w dolinie.

A więc obawy moje sprawdzały się. Tam w naszem obozowisku rozpoczyna się bój. Po pierwszym strzale odzywały się inne, padające gęsto, raz po raz.

Trzeba spieszyć z pomocą, brnęliśmy przez gęstwinę jak stado dzików.

Wtem posłyszeliśmy poza nami jakiś szmer, jakaż była nasza radość, kiedy z zarośli wyłonił się „Ognista ręka“, za nim Winneton z towarzyszami. Udało się im ujść szczęśliwie.

— Słyszeliście strzały? — spytał Ognista ręka.

— Tak.

— Spieszmy więc naszym na pomoc! Musimy także liczyć się z tem, że ścigający nas Indjanie wkrótce znajdą się tutaj i podwoją liczbę wrogów. Do dzieła więc!

Za radą „Ognistej ręki“ mieliśmy ustawić się równolegle do zarośli, zajść nieprzyjacielowi tyły i wypłoszyć go z jego kryjówki.

Wszystko odbyło się sprawnie.

W parę minut potem padły strzały, wycie zaskoczonych odpowiedziało im z zarośli.

Ponieważ ustawiliśmy się na dosyć znacznej przestrzeni, a strzelaliśmy gęsto, dzicy myśleli, że mają do czynienia z licznym zastępem i rzucili się do ucieczki. Nie pędzili jednak ku dolinie, lecz przebili się przez naszą pozycję, zostawiając swych poległych za sobą.

Bill Bulcher, stojący na straży, zauważył zbliżanie się czerwonoskórych i cofnął się w porę do „twierdzy“. Dzicy rzucili się za nim, po kilku jednak strzałach, padających z wąskiego korytarza skalnego, cofnęli się znowu i ukryli w gąszczach, z których wypłoszyliśmy ich właśnie.

Teraz Bill, Dick Stone i inni połączyli się z nami zdając raport ze swych czynności.

Naraz usłyszeliśmy potężny łomot, jak gdyby zbliżało się stado bawołów. Poskoczyliśmy w krzaki, trzymając broń w pogotowiu. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy ujrzeliśmy luźnie pędzone konie. Na jednym z nich siedział człowiek w ubraniu myśliwskiem, rysów nie mogliśmy rozpoznać, bo krew płynąca z rany w głowie zalewała mu twarz.

Człowiek ów zatrzymał się właśnie w tem miejscu,

gdzie zwykle znajdowała się straż. Nie było jej wcale, przybysz więc pokręcił głową i podjechał pod bramę. Tam zsiadł z konia.

— Pozwalam się powiesić, jeżeli to nie jest Will Parker — zawołał Sam.

— Masz słuszność stary wyjadaczu — zawołał nowoprzybyły. — Na honor jestem Will Parker i mówię, że szybka jazda lepsza od innych rzeczy!

— To dobrze. Ale cóż znaczą te konie? — spytał „Ognista ręka".

— Hm! — chrząknął zagadnięty. — Myślałem sobie tak: Wszędzie prędzej poszukają mnie czerwone małpy, aniżeli w swoim własnym obozie. Dlatego wkradłem się im tam i to w ten kącik, gdzie stoją konie. Na szczęście cała hołota się rozbiegła, tylko dwóch dzikich sterczało, poto, aby mi darowali swoją skórę. Poczęstowali mnie także jak widzicie, ale się nie dałem. Koniska zdadzą się nam, sądzę.

Popatrzcie na tego gniadosza, musiał to być wierzchowiec wodza.

— Wyborny rumak — zawołał „Ognista ręka". — Gdybym miał wybierać pomiędzy Swallowem a tem zwierzęciem, byłbym w kłopocie nielada.

Wtem świsnęła strzała w powietrzu, przeleciała ponad ramieniem Sama, zaraz potem dały się słyszeć przeciągłe okrzyki w gąszczu. Dzicy jednak nie okazali się. Pospieszyliśmy zaraz ku nim, aby dać odpowiedź należytą czerwonoskórym. Nie spotkaliśmy ich już jednak, cofnęli się widocznie po tej wojennej demonstracji. Zeszliśmy więc

w dolinę, rozstawiliśmy straże, podczas kiedy ranni zakładali bandaże, aby udać się potem na spoczynek.

Dokoła ognia zgromadzili się ci, co chcieli się nagadać. Każdy chciał mówić o tem, co dokonał, lub o tem, co zamierzał. Wszyscy byli dobrej myśli, po cofnięciu się dzikich. Awantura cała zdawała się skończona pomyślnie, liczba zdobytych skalpów była pokaźna, nie mieliśmy ciężko rannych, a obóz nasz był dobrze ubezpieczony. Nie brakło prowiantu ani amunicji, mogli więc Indjanie bawić się w oblężenie, jak długo będzie się im podobało, albo rozbijać sobie łby o kamienne ściany.

Nie było więc powodu do troski.

Jeden tylko Winneton przeciwnego był zdania, bo siedział zasępiony, pogrążony w zadumie.

— Oko mego przyjaciela patrzy ponuro, a czoło jego schmurzone. Dlaczego? — spytałem, zbliżając się do niego.

— Wódz Apaszów widzi śmierć wciskającą się przez bramę, widzi zagładę, idącą tam, od gór — odpowiedział. — Winneton rozmawia z Wielkim Duchem. Oczy bladych twarzy zaślepiła nienawiść, roztropność ich stłumiło pragnienie zemsty. Parranoh tu przyjdzie.

— Jakże mogą tu wnijść Ponkasowie, przez tę wąską bramę?

— Mój biały brat wymawia słowa, którym nie wierzy sam. Czy może jedna strzelba powstrzymać tłum czerwonych mężów, jeżeli wciśnie się tutaj przez korytarz skalny?

Miał słuszność. Przeciw nieznacznej liczbie nieprzyjaciół, mogło się udać jednemu człowiekowi obronić przej-

ście, bezsilny byłby on jednak wobec tak znacznej hordy, z jaką mielibyśmy do czynienia.

Powiedziałem to „Ognistej ręce“, on jednak zauważył ze spokojem:

— Gdyby się nawet odważyli na to, będzie nam łatwo zgładzać ich po kolei, jednego po drugim, jak będą się podsuwali ku bramie.

W tem także była racja, a jednak jakże łatwo jakiś nieprzywidziany przypadek mógł jej zadać kłam.

Wieczór zapadał, podwoiliśmy czujności, ja miałem pełnić straż dopiero o brzasku dnia, to jest o tej porze, w której Indjanie zwykle napadają. Nie myślałem jednak o spoczynku i byłem w pogotowiu każdej chwili.

Nad doliną zawisła cicha, spokojna noc, ognie płonące tu i ówdzie rozświecały czerwonym blaskiem otaczające nas zarośla. Swallow pasł się w głębi kotliny.

Zbliżyłem się do niego, aby go popieścić, gdy w tem jakiś lekki szmer zwrócił moją uwagę. Swallow podniósł także głowę nadsłuchując, zasłoniłem mu jednak ręką nozdrza, aby nie zdradził nas swem rżeniem. Z natężeniem śledziłem, jaka mogła być przyczyna owego szmeru. Spowodował go prawdopodobnie strącony kamyk, toczący się po stromej ścianie góry. Przylgnąłem do mego konia i z zapartym oddechem czekałem co dalej nastąpi. Po niedługiej chwili zauważyłem postacie schodzące z ciemnych skał. Byli to Indjanie, idący ostrożnie „gęsiego“ po grzbiecie góry. Postępujący na czele znał widocznie doskonale miejscowość i w parę minut podprowadził swych towarzyszy do podnóża doliny.

Gdybym był miał mój sztuciec! Byłbym poczęstował

przewodnika kulą, a osierocone stado nie ważyłoby się ruszyć, nie znając terenu. Lecz niestety! miałem tylko rewolwer za pasem, bijący na nieznaczną odległość.

Gdybym wypalił na alarm, byłbym się znalazł w najniebezpieczniejszem położeniu, bo gdybym się chciał cofnąć, musiałbym wyjść z pod zasłony krzaków i narazić się na kule czerwonoskórych. Chwyciłem się więc innej taktyki.

Parranoh, bo on to był niewątpliwie przodownikiem Indjan, znajdował się właśnie w pobliżu skały, na którą zamierzał się wdrapać. Gdyby udało mi się go wyprzedzić, nie minąłby się z moją kulą. Począłem więc wspinać się na górę. Ukryty za skalnym załomem, mogłem wystrzelać wszystkich do nogi.

Zaledwie jednak postąpiłem o krok, padł strzał u bramy, w ślad za nim grzmotnęły inne. Zrozumiałem! Był to podstęp Indjan, którzy pozornie atakowali wejście, aby odwrócić naszą uwagę od właściwego niebezpieczeństwa. Z podwójną szybkością wspinałem się przeto i byłem już tak blisko skały, że mogłem ją dosięgnąć ręką, kiedy naraz wystający odłam skruszył się pode mną... Począłem toczyć się w dół chwytając się kamieni i kosodrzewin, nareszcie spadłem w dół i straciłem przytomność.

Kiedy otworzyłem oczy i zebrałem myśli, ujrzałem Indjan o parę kroków przede mną, podskoczyłem więc w górę, chociaż potłuczony mocno, dałem ognia, rzuciłem się na Swallowa i pogalopowałem.

Ponkasowie wydając okrzyk wojenny rzucili się za mną.

Dopadłem obozu, zeskoczyłem z konia, nie było nikogo! Wszyscy zebrali się koło bramy, przywołałem ich strzałami.

Przybyli i zarzucili mnie pytaniami.

— Indjanie idą — zawołałem — prędko, do kryjówek!

Był to jedyny sposób ratunku. W kryjówkach naszych byliśmy bezpieczni i mogliśmy ztamtąd wystrzelać naszych napastników. Spieszyłem więc co żywo do mego „salonu“, ale było już za późno.

Czerwoni szli za mną trop w trop i teraz rzucili się na naszych, zaskoczonych zupełnie nieoczekiwaną obecnością dzikich.

Byłbym może przedostał się jeszcze do mego schroniska, zobaczyłem jednakże Harry'ego, „Ognistą rękę“ i Parkera otoczonych nieprzyjaciółmi i poskoczyłem im na pomoc.

— Czemprędzej ku ścianie skalnej — wołałem, wpadając w środek walczących tak szybko, że napastnicy zgłupieli, a my mogliśmy oprzeć się o skałę. Mieliśmy tym sposobem zabezpieczone tyły.

Dzicy poskoczyli za nami, rozpoczęła się bitwa wręcz, ramię w ramię, pierś o pierś.

Były to krwawe zapasy. Na poły wygaśnięte ogniska strzelały od czasu do czasu płomieniem w górę i rozświetlały widownię śmiertelnego zmagania się, wśród wycia Indjan i okrzyków, zagrzewających się do walki traperów. Ziemia zdawała się drżeć i uginać pod ciężkim tupotem bijących się.

Zwycięstwo przechylało się na stronę Ponkasów, którzy przewyższali nas o wiele liczbą. Czuliśmy, że nie zdołamy im sprostać. Postanowiliśmy jednak walczyć do upadłego, nie opuszczała nas przytomność umysłu i zimna krew, pomimo groźnego niebezpieczeństwa.

W zgiełku bitwy myślałem o moich sędziwych rodzicach, tam, w dalekiej ojczyźnie, których już nigdy nie zobaczę... Lecz nie chciałem poddawać się wzruszeniu i dalej z całą energją w bój! Toczył się cichy, zajadły.

O parę kroków odemnie stał „Ognista ręka" krwią obryzgany, opierał się gromadzie napastników. Krótkim zakrzywionym nożem zbrojny, jak w ziemię wrośnięty, skupiony, zwarty w sobie, podobny był do legendarnego jakiegoś bohatera.

Naraz przez tłum czerwonoskórych wyłonił się Parranoh i rzucił się wprost na starego trapera:

— Mam cię nakoniec! — wrzasnął. — Giń!

Rozległ się strzał, „Ognista ręka" powalił się jak dąb podcięty. Zdawało mi się, że to moje serce przeszyła kula, chciałem porwać się na mordercę, gdy w tem gibka postać Winnetona wyrosła przedemną jak z pod ziemi.

— Wódz Apaszów pomści śmierć białego swego brata! — zawołał.

— Ty psie! Do djabła z tobą — ryknął Parranoh.

Więcej nic nie słyszałem. Poczułem na szyji pętlicę, szarpnięcie, potężne uderzenie w głowę. Straciłem przytomność.

— — — — — — — — — — — — — —

Kiedy ocknąłem się z omdlenia, cicho było i ciemno.

Nie mogłem zebrać myśli. Dopiero piekący ból rany w głowie przypomniał mi przeżyte zdarzenia. Chciałem się poruszyć, nie sposób, ręce i nogi miałem skrępowane i to tak silnie, że powrozy wrzynały mi się w ciało.

Rozumiałem, że jestem zgubiony.

Naraz posłyszałem jakiś szelest.

— Czy tutaj jest kto? — spytałem.

— Rozumie się, i to wcale godna persona. Sam Hawkins, do usług!

— Na miłość Boską, powiedz, gdzie jesteśmy?

— No, niby pod dachem. Wsadzili nas do jaskini, gdzie chowaliśmy skóry. Nie znajdą żadnej, jak mi Bóg miły.

— Co się stało z naszymi?

— Stało się jako tako. „Ognista ręka" padł, tak samo Dick i Parker. Bill Bulcher już na drugim świecie, Harry Korner mu tam towarzyszy. Krótko mówiąc, zostaliśmy tylko my z Apaszem i małym panem.

— Harry! Więc Harry żyje?

— Tak, ukryli go w sąsiedniej jaskini razem z Winnetonem.

— Jakże z nim?

— Podobny do sita. Bronił się do upadłego, a z pewnością wolałby zginąć, aniżeli dostać się żywcem w łapięta czerwonoskórych. Aj! miłe to łapięta, bodaj wszyscy djabli się niemi żywili! Zabrały mi te miedziane małpy wszystko. Pistolet, fajkę, i biedną moją Liddy, fuzyjkę kochaną, i kapelusz... Nóż jednak mam jeszcze, tutaj, ukryty w rękawie.

— Masz nóż? doprawdy? — pytałem, niejasną jakąś nadzieją ożywiony.

Miałem właśnie zamiar podsunąć się, tarzając się, ku Samowi, bo był to jedyny sposób, w jaki mogłem się do niego zbliżyć, gdy wtem odsunięto skórę u wejścia i Parranoh pojawił się w towarzystwie kilku Indjan. W ręce wysoko wzniesionej trzymał pochodnię, którą oświecał nas.

Nie zaszczyciłem go ani spojrzeniem.

— Mamy cię nakoniec — szepnął zajadle przez zaciśnięte zęby. Jestem ci winien i to niemało, spodziewam się jednak, że nie będziesz się skarżył. Oddam z nasypką! Czekajcie tylko trochę. Niechno się dzień zrobi, poznacie moją wdzięczność!

Pochylił się nad nami i począł pilnie oglądać więzy.

— Cóż to myśleliście sobie, że Tim Finnetey nie zna waszej mysiej dziury, mówił, błyskając nienawistnemi oczyma. — Byłem w tej dolinie, zanim przeklęty „Ognista ręka" ją zwąchał. Wiedziałem, że się wam spodoba na wasze parszywe gniazdo! No, ale ze wszystkiem teraz koniec!

— Mniejsza o to. Dawno już napisałem testament — mruknął Sam.

Parranoh kopnął go nogą i wyszedł. Za nim wysunął się jego milczący orszak.

Przez chwilę zachowaliśmy głębokie milczenie, gdy jednak oddaliły się kroki, poczęliśmy tarzać się ku sobie, tak, że leżeliśmy tuż przy sobie. Pomimo związanych rąk, udało mi się przecież wyciągnąć nóż z rękawa Sama. Pochwyciłem w zęby nóż i przeciąłem więzy na rękach mego towarzysza.

Niedługo potem oswobodzeni, prostowaliśmy zdrętwiałe członki.

— Nieźle spisałeś się mój Samie — mruczał mały człowieczek. Cacany z ciebie chłopak! Byłeś już w niejednej matni, ale tak kręto jak dzisiaj nie było z tobą jeszcze nigdy.

— Zobaczmy przedewszystkiem, co się tam dzieje za ścianą — zauważyłem.

— Racja, to jest najważniejsze.

— To dobrze. Pomyślmy o broni, ty masz nóż, ale ja jestem ogołocony.

— Znajdzie się coś.

Zbliżyliśmy się ku drzwiom i rozchyliliśmy skóry służące za portjerę. Patrzyliśmy z natężeniem.

Było na tyle jasno, że mogliśmy widzieć co się dzieje w dolinie.

Niedaleko bramy stał Swallow, gniadosz biednego Parkera i wytrwały biegun Winnetona. Na widok mego wiernego konia zabłysła mi myśl ucieczki. Oby tylko udało się nam zaopatrzyć się w jakąkolwiek broń i przedostać się do koni.

— Co pan widzi ciekawego? — zapytał Sam.

— Konie!

— A ja widzę coś jeszcze, moją Liddy tam w trawie i woreczek z kulami. Ba! oto i Parranoh wychodzi z obozu.

Przyprowadzili mu naszych jeńców.

Zwróciłem całą uwagę na rozgrywającą się scenę. Serce biło mi jak młotem, czułem krew uderzającą mi do głowy, kiedy usłyszałem te słowa podniesionym rzucone głosem do Winnetona:

— Przygotuj się psie na pal! Ty zaś — zwrócił się do Harry'ego, będziesz pieczony na wolnym ogniu.

Dał swoim ludziom znak, aby powiedli jeńców tam, gdzie Indjanie krzątali się żywo koło rozpalonego ogniska i odszedł z głową wzniesioną.

Nie było chwili czasu do stracenia.

— Czy mogę zdać się na ciebie Samie? — rzuciłem.

— Jeżeli pan tego nie wie, to i ja nie wiem — mruknął. — Trzeba spróbować.

— Ty w prawo, a ja w lewo, rozumiesz?

— Tak mi się zdaje. A potem Liddy w garść.

— Czyś gotów?

— Aha! Zatem dalej, marsz!

Cichymi, szybkimi susami sadziliśmy za czerwonoskórymi, wiodących naszych jeńców. Sam zadał jednemu z nich cios tak potężny, że zwalił się na ziemię, nie wydawszy krzyku, ja, ponieważ nie miałem broni, wydarłem drugiemu z nich nóż z za pasa, a potem utopiłem go w krtani Indjanina aż po rękojeść. Padł rzężąc głucho.

Przecięliśmy więzy skazanych. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie mogli sobie zdać sprawy, co się właściwie stało.

— Naprzód! Chwytajcie jakąkolwiek broń! — wołałem, rzucając się pomiędzy Indjan. Nim się znienacka napadnięci opatrzyli, zabraliśmy im broń i znaleźlimy się za nimi.

— Swallow! — krzyknąłem. Poczciwe zwierzę znalazło się przy mnie.

Za chwilę siedziałem już na koniu, za mną poskoczył Winneton na swoim niepozornym chudziaku, Sam dopadł gniadosza Parkera.

— Prędzej na miłość Boską — wołałem, widząc, że Harry stara się pochwycić daremnie jakiegoś konia, wierzgającego jak opętany.

Pochwyciłem chłopca za ramię, uniosłem w górę i rzuciłem przed siebie.

Wycie i okrzyki napełniły powietrze, strzały padały i przelatywały świszcząc, słychać było tentent koni ścigających nas Indjan.

Pędziłem wąskiem przejściem, wśród skał, nie wiedziałem sam, jak i kiedy wydobyłem się na wolną przestrzeń.

Chciałem skręcić na prawo w dolinę, gdy wtem padł strzał.

Harry posłonił się, był trafiony!...

Podtrzymałem go, a zachęcając Swallowa nawoływaniem, galopowałem bez tchu.

Słyszałem za sobą wciąż tentent konia. Obejrzałem się, to Parranoh pędził za nami.

Teraz zależało wszystko od Swallowa, jak wówczas w New-Venango.

Pędziłem niby w śnie majaków pełnym. Przedemną dudnił na swym kościstym rumaku Winneton, zrównałem się z nim prawie, czułem jednak, że Parranoh nie zwolnił biegu, nie oglądałem się już jednak.

— Tyś ranny, Harry? — pytałem.

— Tak.

— Czy będziesz mógł wytrzymać tę szaloną jazdę?

— Może być.

Popędzałem wciąż konia, który zdawał się ziemi nie dotykać wcale.

Lecieliśmy jak na skrzydłach burzy.

— Trzymaj się Harry. Może się uratujemy — mówiłem pochylony nad chłopcem.

— Nic mi nie zależy na życiu. Rzuć mnie jako ciężar zbyteczny.

Cicho! Nie wolno ci tak mówić.

— Nie chcę żyć, mój ojciec padł! Rzuć mnie.

— Cicho! wołałem. — Jesteś już ocalony.

Obejrzałem się.

Znajdowaliśmy się na wolnej przestrzeni, po której pędziliśmy równolegle do skraju lasu, ciągnącego się na lewo. Parranoh był już daleko za nami. Poza swoim wodzem kłusowali Indjanie, którzy nie chcieli dać za wygranę, chociaż mieliśmy już szansę ocalenia.

Zobaczyłem, że Winneton zeskoczył z konia i nabijał zdobytą strzelbę. Ja także zsunąłem się z mego Swallcwa, złożyłem chłopca na ziemi i pochwyciłem za tomahawk.

Parranoh w tej chwili nacierał na mnie unosząc w górę swą maczugę.

Wtem padł strzał z fuzji Apasza, śmiertelny nasz wróg rzucił się i zwalił się na ziemię rażony równocześnie potężnem uderzeniem tomahawku, które rozpłatało mu głowę.

Winneton zbliżył się do trupa, dotknął go nogą i wyrzekł uroczyście:

— Wąż z Atabaskah przestał syczeć. Nie będzie więcej lżył wodza Apaszów. Niech mój brat zabiera swoją broń.

Parranoh uzbroił się był naprawdę moim nożem, rewolwerem i sztućcem. Pochwyciłem moją własność i Harry'ego i dalej na koń, coprędzej naprzód!

Indjanie byli już tak blisko nas, że ich kule mogły nas dosięgnąć.

Naraz usłyszeliśmy tentent galopujących jeźdźców z lewej strony. To zbliżał się oddział dragonów z załogi fortu Wilkes.

Zaledwie zoczył ich Winneton, rzucił się z wysoko wzniesionym tomahawkiem pomiędzy Ponkasów, ja zaś zesiadłem z konia, aby opatrzeć ranę chłopca.

Nie była na szczęście niebezpieczna. Odciąłem coprędzej kawałek mojej koszuli i sporządziłem jaki taki bandaż, aby powstrzymać krwawienie.

— Czy możesz dosiąść konia? — spytałem. Uśmiechnął się tylko i jednym susem znalazł się na grzbiecie gniadosza, którego cugle rzucił mi Winneton.

— Nie czuję prawie rany pod opatrunkiem. Dzicy uciekają, ścigajmy ich — wołał Harry.

Pędziliśmy więc drogą powrotną i tak szybko, że wyprzedziliśmy dragonów.

Zależało wiele na tem, aby czerwonoskórzy nie schronili się w naszej „twierdzy". Dlatego popędzałem Swallowa i znalazłem się wkrótce u boku Winnetona, który dążył w ślady uciekających.

Skręcali właśnie na lewo ku bramie, przodem jadący wjeżdżał już w skalisty przesmyk, kiedy padł sztrzał, kładąc go trupem. Niedługo świsnęła znowu kula i trafiła drugiego Indjanina. Dzicy więc nie mając innego wyjścia, gnali ku Mankizili, zą nimi dragoni prący ich przed sobą.

Z przesmyku skalistego zaś wysunął się Sam, błyskając zdziwionemi oczyma.

— A pana tu co znów przygnało? — pytał mały człowieczek.

— A skądże ty się tutaj wziąłeś? — wykrzyknąłem zdumiony. — Widziałem cię przecież jadącego przedemną.

— Aha jadącego! — zachichotał. — Trafiłem na jakąś przeklętą indyjską szkapę, co nie chciała mnie dźwigać na grzbiecie i raz po raz zrzucała. Zawróciłem więc po cichu, boczkiem do „twierdzy". Myślałem sobie, że ją te czerwone małpy zostawiły pustą, bo za wami pognały. No i tak było naprawdę. A skąd się wzięli dragoni?

— Dowiemy się dopiero. Przybyli w porę, aby nas uratować.

— Hm! Sami dalibyśmy sobie także radę. Czy pogonimy teraz za Ponkasami?

— Poco? Lepiej chodźmy do „fortecy". Winneton z Harrym już tam są.

Przeszliśmy wąski kurytarz skalny i znaleźliśmy się w kotlinie na pobojowisku ubiegłej nocy. Winneton i Harry klęczeli przy zwłokach „Ognistej ręki".

Harry płakał, trzymając głowę ojca na kolanach, Apasz oglądał rany. Naraz zawołał:

— Żyje, żyje!...

Słowo to poruszyło nas jak iskra elektryczna. Rzuciliśmy się ku naszemu druhowi, ratując go jak mogliśmy i umieli.

Po długiej chwili otworzył oczy, uśmiechnął się do swego syna, mówić jednak nie mógł i zemdlał powtórnie.

Zbadałem ranę postrzałową. Kula przeszła przez płuca, powodując krwotok. Według wyroku Winnetona, rana nie była śmiertelna, przyjaciel nasz żyć będzie. Apasz obandażował go umiejętnie. Zanieśliśmy potem rannego na przygotowane wpierw wygodne posłanie.

Potem pomyśleliśmy o sobie. Byliśmy strudzeni i pokiereszowani.

Około południa pojawili się dragoni. Rozgromili Ponkasów zupełnie i wybili do nogi.

Dowodzący oficer powiedział nam, że wyprawa ich nie była przypadkowa. Słyszeli bowiem o zamiarze dzikich, zamyślających wykoleić pociąg i postanowili ich ukarać natychmiast. Szli za nimi w tropy, i dokonali zamiaru.

Dragoni zostali trzy dni w dolinie, przy rozstaniu, zaprosił nas oficer do fortu Wilkes, gdzieby „Ognista ręka" mógł znaleść lekarską opiekę.

Przyrzekliśmy przybycie, jak tylko ranny będzie się miał lepiej.

Sam Hawkens głęboko był zmartwiony śmiercią Stona i Parkera. Poprzysiągł sobie nieubłaganie ścigać Ponkasów i zapłacić im z nasypką.

Inaczej jednak osądziłem tę sprawę.

Parranoh był ich wodzem i mentorem...

Powtórzyłem więc sobie w duszy to, o czem wiedziałem już dawniej z doświadczenia, że:

Indjanie stali się tem, czem są, jedynie przez „blade twarze".

KONIEC.



Nakładem Wydawnictwa „Kultura i Sztuka" we Lwowie

wyszły dotychczas następujące powieści KAROLA MAYA:

Przygody w północn
Na morzu Faraona
Ognista ręka
Kapitan Surcouf

w druku zaś znajdują się następujące tomy:

Testament Apasza
W krainie Burów
Opowiadania geograficzne

Nadzwyczaj barwne opisy Maya, które w tłómaczeniach obiegły świat cały i zjednały sobie miljony czytelników — nadają się znakomicie jako lektura dla największych nawet smakoszów literackich.

„...Pierwsze strony opowiadania pociągają już ku sobie, a dalsze, dokładniejsze ich czytanie wprost nie pozwala nam się oderwać od książki. Czytając opowiadania, mamy wrażenie, że razem z autorem podróż odbywamy, że dzielimy z nim ból, radość, strach i odwagę, że przechodzimy niebezpieczeństwa lub ich unikamy, że zawieramy przyjaźń lub wchodzimy w przykre kolizje z półdzikimi ludami, zamieszkującymi te krainy tajemnicze. Każdy wypadek opisany jest jasno, zarówno pod względem pobudek, jak przebiegu i warunków jego, a zmyślone zdarzenia takiej jasności posiadać nie mogą. Trzeba choć w części przeżyć zdarzenie i przeniknąć je psychologicznie, aby je opisać tak, jak to czyni May. Zresztą poza tem nadaje temu opowiadaniu nadzwyczajnej świeżości, kolorytu i złudy rzeczywistości... jego lokalny charakter opisów: są tam skarby wprost z geografii kraju i ludoznawstwa, począwszy od opisu fauny i flory, lub strojów i powierzchowności ludzi, a skończywszy na ich charakterze i temperamencie, uwydatniającym się w ich wierzeniach, zwyczajach i obyczajach, a wynikającym z odwiecznych praw i warunków ich kultury lokalnej. Pod tym względem mają też powieści Maya wartość nieocenioną, zarówno dla dojrzałego, jak i młodego wieku. Czytelnik ani się spostrzega, kiedy gromadzi różne wiadomości, jakich — podanych w ten sposób — gdzieindziej nie znajdzie; nie potrzebuje się ich uczyć mozolnie dla zysku, ot, aby je niebawem zapomnieć, jak każdą rzecz sztucznie tylko przyswojoną. Tłómaczone dobrym językiem polskim, stają się powieści podróżnicze Maya nader cennym nabytkiem naszej literatury przyswojonej, a szata zewnętrzna odpowiada wszelkim oczekiwaniom".